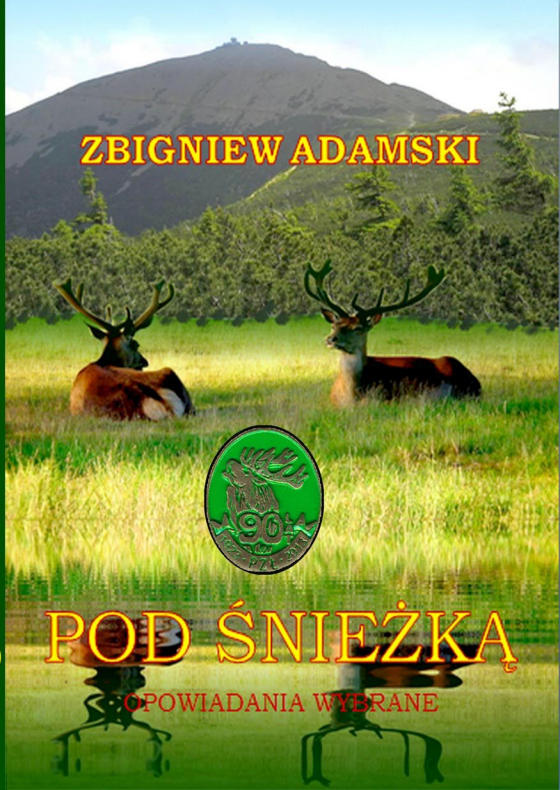




Zbigniew Adamski

POD ŚNIEŻKĄ



ZBIGNIEW ADAMSKI



POD ŚNIEŻKĄ

OPOWIADANIA WYBRANE

ZBIGNIEW ADAMSKI



POD ŚNIEŻKĄ
OPOWIADANIA WYBRANE

ZBIGNIEW ADAMSKI

POD ŚNIEŻKĄ

OPOWIADANIA WYBRANE



*

Książka wydana z okazji 90-lecia PZŁ

JELEŃ GÓRA 2013

WYDAWCA
Polski Związek Łowiecki
Zarząd Okręgowy PZŁ w Jeleniej Górze

Opiniodawca
Kazimierz Koncewicz

Korekta
Romuald Witczak

Fotografie i rysunki
Zbigniew Adamski

Hafty rysunków autora
Zofia Wąsik

Projekt okładki, opracowanie graficzne
Zofia Wąsik

Wydanie pierwsze 2013 r.

ISBN 978-83-63442-00-2

*Znaczek rocznicowy 90-lecia PZŁ wg pomysłu Wojciecha Plewki z Opola

Na okładce:

*Przełęcz Karkonoskie są często odwiedzane przez chmary jeleni. Na fotografii dwa duże byki w porze letniej wypoczywają pod Śnieżką.

**Czaple siwe są częstymi gośćmi na stawach w Podgórzynie i koło Wojcieszyc, odwiedzają też kręty Zalew Bobru w Pilchowicach.

Druk i oprawa TOTEM Inowrocław

www.totem.com.pl

Przedmowa

To są krótkie opowiadania, nawet tylko impresje z chwil i miejsc zupełnie nieznanymi przeciętnemu mieszkańcowi miast, miasteczek i wsi. W powszechnej świadomości ukształtowało się przeświadczenie o manierze przesady w opowieściach myśliwskich. Tutaj nic z tych rzeczy. Owszem, Autor poluje, ale częściej kamerą niż swoją kniejówką. Lecz i to nie wydaje się tak istotne. Znacznie ważniejsze jest, co postrzega i potrafi nam opowiedzieć. A widzi to, czego my, odświętni goście pól i lasów, w ogóle nie dostrzegamy. Nie mamy cierpliwości godzinami czekać na dziki, sarny czy jelenie, które mogą się pojawić, ale niekoniecznie. A myśliwy siedząc na ambonie czyta przyrodę jak otwartą księgę. Głęboką nocą zasadza się na dziki, ale widzi cud świtu i poranka, leniwie narastające światło słoneczne, wstające z łąk mgły, błyszczącą rosę, budzące się ptactwo, kołującego myszołowa...

A cóż przeciętny mieszkaniec naszego regionu wie o zwyczajach muflonów, tokowaniu cietrzewi, godowych pieśniach głuszców, gniazdowaniu obrożnych drozdów, tylko w przelocie odpoczywających na naszych akwenach gęsiach gęgawych czy słonkach? Albo o sprycie lisa, który potrafi wyprowadzić w pole nawet najbardziej doświadczonego myśliwego? O tym i jeszcze wielu innych sprawach życiowych naszych niewidocznych sąsiadów – zwierząt sudeckich – dowiedzieć się możemy z tej książki.

A te stare polskie słowa, które już wyszły z ogólnego użycia! Któż posługuje się takim wyrażeniem jak „ponowa” lub „nemrod”? Autor wplata je swobodnie w narrację, stwarzając specyficzny klimat kniei, wprowadzając czytelnika w zaczerpnięty świat naszej przyrody, wreszcie zmuszając go do skorzystania z załączonego słowniczka.

Udatnie łączy historię z legendą. Zanim zaprosi nas na łowy, skrótowo opowiada o dziejach i obyczajach tej ziemi, szczególnie tych związanych z myślistwem, o poszukiwaczach złota, o swoim Związku Łowieckim, o ludziach lasu.

Lubię pisarstwo Zbigniewa Adamskiego za niekłamany zachwyty przyrodą i umiejętność o niej opowiadania i ilustrowania wspaniałymi zdjęciami oraz własną, niebanalną kreską. Z tych opowieści o naszych górach tchnie wielka miłość do fauny i flory oraz kapryśnej aury. Czuje się tam prawdę człowieka, który nie-jeden dzień i noc spędził na cichej i cierplivej obserwacji.
Gorąco polecam!

ROMUALD WITCZAK

Od autora

Druga moja wystawa pt. „Przyroda w fotografii”, prezentowana w Jeleniej Górze i PTF w Poznaniu w latach sześćdziesiątych, była dla mnie wielkim sukcesem. Jednak przede wszystkim stała się reklamą moich fotografii przyrodniczych, w tym wielu z Karkonoszy.

Od lat tych związałem się z redakcją „Łowiec Polski” i zobowiązałem się do przedstawiania w nim fotografii zwierzyny łownej z Sudetów. Wykonywanie takich zdjęć było wówczas dość trudnym zadaniem, okres powojennych zakazów tu jeszcze trwał. Wchodzenie z aparatem fotograficznym do lasu w strefie nadgranicznej wieczorem czy w nocy budziło podejrzenie i problemy. Redaktor naczelny gazety dla myśliwych Józef Szczepkowski, o pomoc dla mnie poprosił łowczego ZO PZŁ i miłośnika przyrody w Jeleniej Górze Stanisława Bejgera.

Odtąd sprawy potoczyły się bardzo szybko, dostałem pismo do władz leśnych i WOP o pomoc oraz możliwość kandydowania do PZŁ. Przydzielono mi opiekuna inż. Andrzeja Kułakowskiego, gawędziarza i miłośnika miejscowej przyrody. Przy nim miałem możliwość zapoznania się z obyczajami i ścieżkami leśnych zwierząt, ale i ze zwierzyną występującą w obwodach Kotliny Jeleniogórskiej. Umożliwił mi też pierwsze spotkanie z dzikiem i chmarą jeleni na bezkrwawych łowach.

Zgodnie z jego propozycją odwiedziłem w Górach Kaczawskich duży paśnik stojący na skraju świerkowego młodnika. Byłem wówczas młodym chłopcem wyposażonym w jasny obiektyw i lornetkę Zeissa. Na to polowanie pojechała ze mną Grażyna, zgrabna dziewczyna po politechnice, która pomagała mi przy organizacji kolejnej wystawy przyrodniczej w Karkonoskim Parku Narodowym.

Siedliśmy spokojnie za wykrotem drzewa, osłonięci zielonym młodnikiem. Przed nami było pagórkowate pole pokryte

żółtym rżyskiem, a za nim czerwieniła się ściana liściastych, jesiennych buków. Panowała tu zupełna cisza i gdyby nie lawendowy zapach olejku, którym popryskaliśmy się przed wejściem do lasu, nic innego nie zwracałoby naszej uwagi. Tak trwaliliśmy bez słowa, aż słońce stanęło nad lasem, a rżysko stało się bardziej wyraziste, czerwone z długimi cieniami.

Wówczas zza wzgórza wybiegły dwa szaraki, obejrzały wokół okolicę i zaległy w niej na długo. Za jakiś czas pojawiły się tam najpierw dwie sarny, potem jeszcze trzy przywędrowały z lasu i szły w naszym kierunku. Mój aparat rejestrował to zdarzenie. Naraz sarny stanęły, jakby wyczuły niebezpieczeństwo i bojaźliwie zaczęły zdążyć w stronę pobliskiego młodnika. W lornetce widziałem ich niepokój, czyżby zauważyły błysk mego obiektywu.

Nagle Grażyna szarpnęła mnie za rękaw i cicho powiedziała: dzik. Pewnie odpowiedziałem, że to sarny, jeszcze raz chwyciła mnie za ramię i ręką wskazała z boku dzika na czerwonym rżysku. Niespodziewanie ugięły się mi nogi. Przed nami stąpał odważnie czarny odyniec, szedł w naszym kierunku. Pośpiesznie chwyciłem aparat i tak na chybił trafił zrobiłem szybko kilka zdjęć. Dzik tym moim zachowaniem się przestraszył i z hukaniem całym pędem wpadł w las.

Byłem tym zdarzeniem zaskoczony, potem długo siedzieliśmy na pniu i rozmawialiśmy o tym co się tu zdarzyło. Grażyna widziała dzika po raz pierwszy w życiu, a ja byłem zły na siebie za brak spostrzegawczości. Po wywołaniu zdjęć, zaledwie dwie fotografie z odyncem były poprawne. Jedna z nich była później reprodukowana w Łowcu Polskim i zdobiła kilka wystaw i moich książek.

Kiedy stałem się członkiem PZŁ korzystałem z zaproszeń do różnych obwodów łowieckich w Kotlinie Jeleniogórskiej. Poznawałem zwierzynę leśną żyjącą w obwodach Koła Łowieckiego „Darz Bór”, „Muflon”, „Knieja”, „Tur” i w Karkonoskim Parku Narodowym. Przy ogniskach nasłuchiwałem się przeróż-

nych zwierzeń, i tych prawdziwych, i tych z bogatej wyobraźni „nemrodów”. W czasie wypraw o księżycu, o wschodzie i zachodzie słońca odkrywałem od nowa prawdziwe piękno Karkonoszy, Gór Izerskich i Kaczawskich. Zawsze oprócz strzelby nosiłem ze sobą aparat fotograficzny z długim obiektywem i notatnik. Zdjęcia wykorzystywałem wysyłając do gazet, a notatki i rysunki trafiały do mej szuflady.

Sukcesów myśliwskich miałem wiele, najczęściej jednak poprzez obiektyw aparatu fotograficznego, ale także nagrody, dyplomy, medale z wydawnictw.

Najpierw pisałem do redakcji „Łowca Polskiego”, potem „Przyrody Polskiej” i „Skarbcza Ducha Gór”, a po zakończeniu pracy w redakcji zakładowej gazety „Wspólny Cel” w „Celwiskozie” w 1990 r., kontynuowałem moje hobby przy kronikach Koła Łowieckiego „Darz Bór”. Od lat 70-tych pracuję w Komisji Promowania Łowiectwa i Zwyczajów Łowieckich. Napisałem kilka książek: „Skarbiec św. Huberta w Karkonoszach i na Pogórzcu”, „Ze strzelbą i wędką” itp. W latach 1997-98 przebywałem w Kanadzie i tam napisałem „Ontaryjskie Safari”, „Nad rzeką św. Wawrzyńca” i „Tęczowe lasy Kanady”. O niektórych z nich pisały „Nowiny Jeleniogórskie” i Biuletyn „Kultura Łowiecka” w Warszawie.

Większość książek poświęcona jest myślistwu, wędkarstwu, ale i legendom oraz historii w Kotlinie Jeleniogórskiej.

Do książki „Pod Śnieżką” wybrałem kilka nigdzie nie publikowanych materiałów oraz wcześniejsze opowiadania, które napisałem dla młodych adeptów sztuki łowieckiej, miłośników przyrody oraz członków Ligi Ochrony Przyrody.

Od początku 2010 roku pomaga mi w opracowywaniu materiałów do kolejnych wydawanych książek pani mgr Zofia Wąsik. Wcześniej współpracowałem z byłymi redaktorami „Kurieria Jeleniogórskiego” i „Gazety Robotniczej”. Zamiana ta stała się

korzystna. Pani Zosia pochodzi z rodziny doceniającej walory literatury pięknej i otaczającej nas przyrody, po wojnie zamieszkała w Karkonoszach. Dzięki jej talentowi uzyskała lepszą jakość nie tylko treści książek, ale również moje rysunki i fotografie zwierzyzny z Pogórza Sudeckiego zamieszczane na stronach.

Opisy i zdjęcia pokazują w nich zwierzęta, które mieszkają w naszych borach, a najczęściej można zobaczyć je tylko wczesnym rankiem lub nocą przy zupełnej ciszy i przeważnie zawsze z zaskoczenia. W związku z czym opracowanie takiego materiału jest wyjątkowo trudne i musi być robione spokojnie z wielką pasją i osobistym zaangażowaniem. Mam wrażenie, że taki styl podoba się większości czytelników kochającym przyrodę.

W czasie przebywania w lesie również szkicuję sceny i robię notatki z ciekawych spotkań z przyrodą. Później szkice te są przetwarzane na rysunki ze szczegółami.

Pani Zosia urzeczona moimi rysunkami-grafikami, najciekawsze zamienia w obrazy haftowane czarną nitką. Robią one zaskakujące, piękne wrażenie i zdobią już wiele domów. Jako logo do haftowanych grafik obrała „zieloną gałązkę świerczyńszlóm”. Część tych haftów zamieszczona jest na stronach książki.

Książki „W ogrodzie Ducha Gór Rzepióra” i „Skarbiec Puszczy Sudeckiej”, wydane przez AD REM, można otrzymać w tutejszych księgarniach. „Sudecką Baśń o grodzisku Strupicza” w Książnicy Karkonoskiej. Poczłtówki i Kalendarz w Muzeum Przyrodniczym w Jeleniej Górze – Cieplicach. Pozostałe książki są w bibliotece Zarządu Okręgowego PZŁ w Jeleniej Górze, Muzeum Regionalnym, Archiwum Miejskim, w biuletynie Klubu Kolekcjonera „Kultury Łowieckiej” w Warszawie itp. Elektroniczne opracowania większości moich pozycji dostępne są w Bibliotece Cyfrowej przy Książnicy Karkonoskiej. Można je obejrzeć i przeczytać także przez internet.

Zbigniew Adamski



Św. Hubert – patron myśliwych i leśników

90-lecie PZŁ (1923-2013)

JELENIOGÓRSKI ŚWIĘTY HUBERT

Książkę „Pod Śnieżką” przygotowałem w ramach obchodów jubileuszu 90-lecia Polskiego Związku Łowieckiego, który powstał w Warszawie w 1923 roku. Obchody będą miały wymiar centralny i regionalny poprzez zaangażowanie naszych kół łowieckich (w kraju jest ich 2,5 tys.). W Okręgu Jeleniogórskim do 37 kół łowieckich należy 1800 członków. Centralne uroczystości „Hubertus Expo 2013” zaplanowano na 26-28 kwietnia 2013 r. Uroczystości regionalne odbywać się będą w różnych terminach. Tematyka tej publikacji dotyczy łowiectwa w Kotlinie Jeleniogórskiej.

Św. Hubert z Cieplic

Figura Św. Huberta powstała w 1785 r. w Jeleniej Górze, autorem był Augustyn Wagner. Fundatorem Jan Nepomucen Schaffgotsch, chcący uczcić patrona polowań.



Św. Hubert ZO PZŁ w Jeleniej Górze

Opiekunem rzeźby jest ks. kanonik Czesław Misiewicz z Kościelnika z par. rzymsko-katolickiej, kapelan myśliwych Okręgu Jeleniogórskiego. Każdego roku figura ta uczestniczy podczas mszy świętej odprawianej dla myśliwych z okazji ich święta.



W 1945 roku jednym z najważniejszych ośrodków organizujących Polski Związek Łowiecki na Dolnym Śląsku była Jelenia Góra. Miasto nie było zniszczone, położone wśród bogatych lasów malowniczej Kotliny Jeleniogórskiej, zachęcało do osiedlania się miłośników i sympatyków łowiectwa. Napływali osadnicy z za Buga, z centralnych województw, zdemobilizowani żołnierze, rolnicy wracający przez te ziemie z robót przymusowych w Niemczech.

Wędrujący ludzie po wieloletniej głodówce czynili często wyprawy po żywność. Początkowo korzystano ze zwierząt domowych, a kiedy tych zabrakło, sięgano po zwierzynę łowną. Do tego celu używano karabinów, a często i granatów.

W tych warunkach stabilizacja postępowała powoli. Broni było pod dostatkiem, leżała na polach, w rowach, ukryta w starych piecach, stodołach i na strychach.

Obławy przeprowadzano z zapalem i dawały one niezłe wyniki, zwierzyny było bowiem w bród. Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Często ranione sztuki błąkały się po polach, ginęły bez pożytku dla ludzi. Nie było nikogo, kto by się zainteresował ich losem lub miał uprawnienia do interwencji. Sytuacja z dnia na dzień pogarszała się i groziła kompletnym wyniszczeniem miejscowych zwierzostanów. Następnym rokiem był rokiem gruntownej przebudowy łowiectwa na Dolnym Śląsku.

Samodzielna grupa działaczy łowieckich z Jeleniej Góry reprezentuje Dolny Śląsk na pierwszym Walnym Zebraniu PZŁ w Warszawie. Grupa jeleniogórska w porozumieniu z ówczesnym prezesem PZŁ Janem Stelińskim, 15 marca 1946 roku utworzyła Wojewódzką Radę Łowiecką z siedzibą w Jeleniej Górze, na czele której stanął Tadeusz Igelström Szol.

Odtąd strażnicy łowieccy i funkcjonariusze Lasów Państwowych byli zobowiązani kontrolować leśne rewiry, chronić przyrodę i zwalczać kłusownictwo. W roku tym dolnośląska

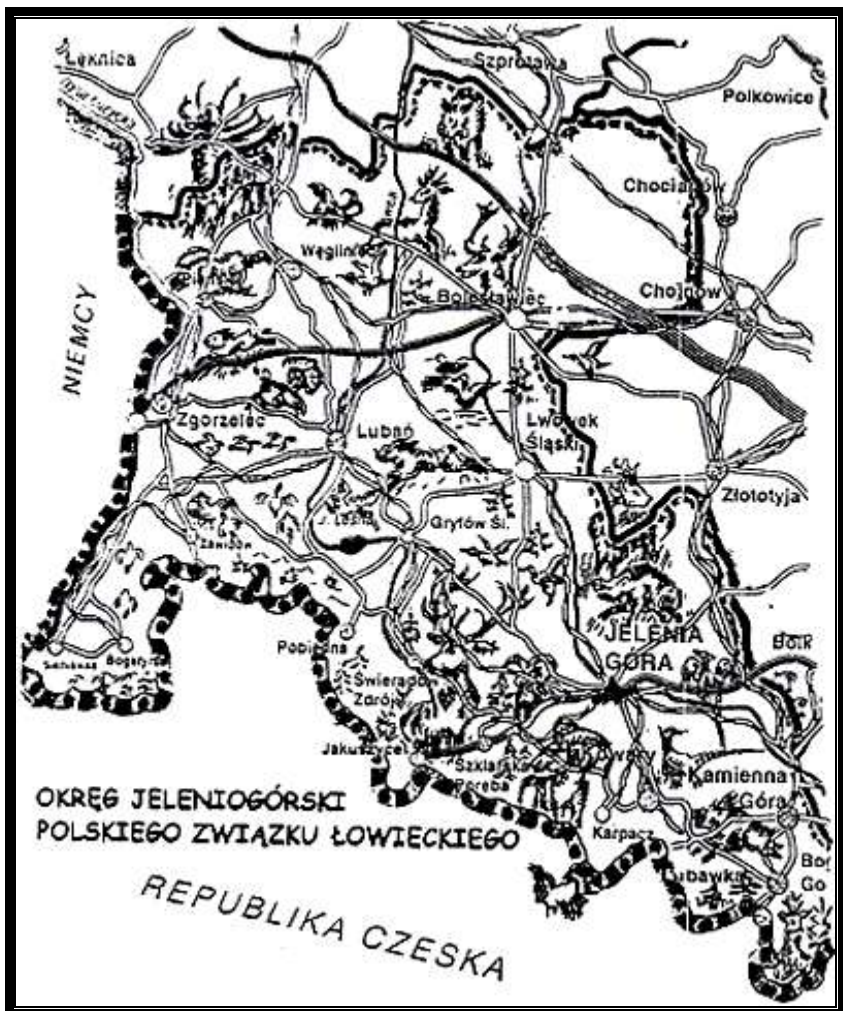
organizacja zrzeszała 733 myśliwych, a w końcu następnego roku było już 2500 członków.

Działało już Stowarzyszenie Myśliwskie „Muflon”, założone przez Władysława Grzybowskiego w listopadzie 1946 roku. W ciągu zaledwie paru wiosennych miesięcy następnego roku powstały załączki dalszych stowarzyszeń myśliwskich, takich jak „Darz Bór”, „Ryś” w Goduszynie, czy milicyjne koło „Jeleń”.

W piątek 21 marca 1947 roku, łowczy powiatowy dr Zenon Wiltowski i jego zastępca Paweł Kolose zaprosili na zebranie wszystkich niezrzeszonych myśliwych powiatu. Celem było utworzenie dalszych stowarzyszeń myśliwskich i wydzierżawienie obwodów. Zebranie odbyło się w sali Dworca Turystycznego przy obecnym Placu Niepodległości 3 (w budynku naprzeciwko Książnicy Karkonoskiej). Tutaj padły propozycje utworzenia dalszych stowarzyszeń myśliwskich.

18 czerwca tego roku zebrała się grupa założycielska Jeleniogórskiego Stowarzyszenia Myśliwskiego „Darz Bór” w składzie: Edward Czerny, dr Zenon Wiltowski, Tadeusz Sulewski, Stanisław Bejger i skarbnik Zygmunt Szulc. Tu podjęto uchwałę o uiszczenie wpisowego oraz składki na konto przyszłego towarzystwa. Tak dnia 7 lipca 1947 roku powstało następne po „Muflonie” Stowarzyszenie Myśliwskie „Darz Bór” w Jeleniej Górze. W następnych latach powstawały dalsze koła łowieckie.

Rozsądną gospodarką łowiecką i ochroną karkonoskiej przyrody zyskaliśmy sobie uznanie „u bram naszego patrona św. Huberta”, czego zazdroszczą nam tak myśliwi z innych rejonów kraju jak i cudzoziemcy polujący w Karkonoszach.





DUCH GÓR „RZEPIÓR”- KARKONOSZ

W najdawniejszych czeskich źródłach znajdujemy imię Ducha Gór jako Dominus Johannes (Święty Pan Jan). Pojawiają się również inne jego nazwy jak: Liczyrzepa (Rübezahl) czy Karkonosz.

Duch Gór przedstawiany jest jako stary, ale muskularny mężczyzna z długą brodą i włosami, czasem w stroju myśliwskim. Mapy Śląska wg Martina Hellwiga z 1561 r. ukazują Ducha Gór jako gryfa o kozich nogach i jelenich wieńcach.

Mit o Rzepiórze - Karkonoszu powstał z fantastycznych opowiadań podróżników i poszukiwaczy skarbów oraz Walończyków wędrujących po Górach Śnieżnych.

Diabeł ten miał strzec ludzi przemierzających góry. Przypuszczano, że mieszka na zboczach Karkonoszy pomiędzy Śnieżką a Kowarami. Jego mieszkaniem był pałac dobrze skryty pod ziemią, w którym wszystko mieniło się i błyszczało od srebra i złota. Do tego pałacu wchodziło się pod bezdennym Wielkim Stawem.

*Na rysunku Rzepiór w czasie polowania na cietrzewie w Karkonoszach.

PUSZCZA PRZESIECKA

Od wieków pierwszym łowcą dzikiej zwierzyny w Karkonoszach był mityczny Duch Gór „Rzepiór”. Mieszkał w swym pałacu pod bezdennym Wielkim Stawem oraz w skalnych zapadlinach, zwanych dawniej Lodowymi Kotłami. Dawniej jego bliskimi sąsiadami były brunatne niedźwiedzie mieszkające w skalnych gawrach oraz wilki włączące się po turniach. Puszcza Przesiecka rozciągała się nad rzekami Kamienną i Bobrem aż do granitowych szczytów Karkonoszy i była wówczas niedostępną dla ludzi. Bez dróg i ścieżek, z gruzowiskami skał i wykrotów, wielkich dolin i kanionów zalanych wodą. Zalegało w niej wiele szlachetnych kamieni, cennych rud i kruszców, rosły w niej różne lecznicze zioła, a w starych drzewach były pszczele barcie. Zza Bobru i Kamiennej nikt wówczas jej nie odwiedzał, wciąż była niedostępna, dzika i groźna.

Jedynie Duch Gór zawsze decydował, jaka będzie w niej pogoda. Każdego roku z wysokiej grani nad kotłami zsyłał w doliny groźne burze z gromami, gęste obłoki i złowieszcze fale deszczu i śnieżyc, zasypywał i zatapiał wodą ziemię aż po rzekę Bóbr i Kamienną. Nieraz pod wodą znalazła się cała Kotlina Jeleniogórska, z której wystawały tylko szczyty gór i wzniesień.

Puszcza ta była jedyną, przez człowieka najpóźniej odkrytą i ucywilizowaną krainą na zachodzie naszego kraju. Stąd w niej żyło bardzo dużo dzikiej zwierzyny, swobodnie się rozmnażającej. Umożliwiały im to dzikie warunki, które tu istniały. Liczne grotty, gęste lasy, skaliste wzniesienia, żleby i bujne podszycie były dobrymi matecznikami dla turów, niedźwiedzi, jeleni, saren, głuszców i cietrzewi, a także dzików, żyjących tu wilków, lisów, orłów, borsuków, a na bagnach licznych wodnego ptactwa, bobrów i wydr.

BOBRZANIE

W dawnych wiekach Ziemię Dolnośląską pokrywały nieprzebyte bory, puszcze i knieje. Wśród nich błyszcząły tafle jezior, płynęły po gwałtownych ulewach rześkie rzeki, potoki i strumienie. W górskich odcinkach tworzyły często wodospady i siklawy.

Powstawały też torfowiska, podobne do tych na dalekiej północy oraz grzęzawiska wśród kosodrzewiny pokryte zielonymi łąkami. U dołu nadmiar wód rozpływał się i zamieniał w nieprzebyte bagna, a wszystko to było nietknięte ręką ludzką.

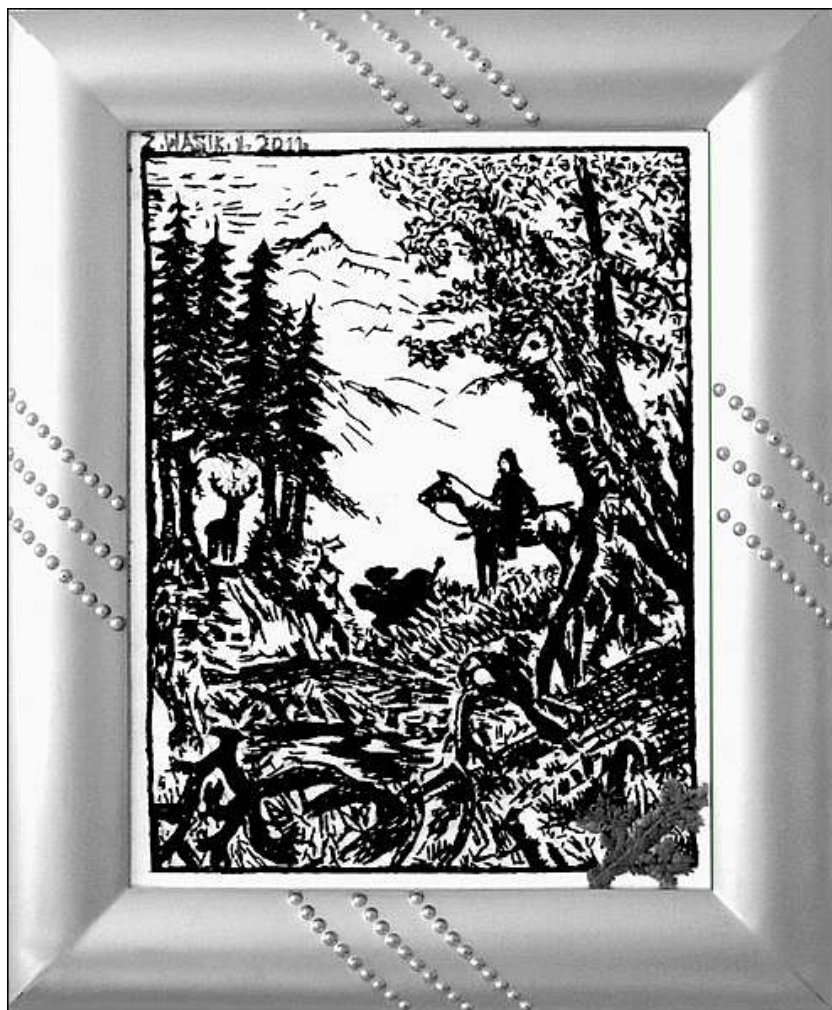
Nie rosły tu jednolite drzewostany. Obok dębów olbrzymów stały graby, buki, jodły, a do sędziwych lat dożywały świerki i sosny, walcząc między sobą o dostęp do światła.

Zgoła odmiennie od dzisiejszego, skąpego zalesienia wyglądał dawny prabór nad Bobrem, gdzie czasem zmorzone wiekiem stare drzewa, popychane huraganowymi wiatrami, waliły się na ziemię, łamiąc i kalecząc swych sąsiadów.

W dawnej puszczy mocarny, brunatny niedźwiedź był królem. Zamieszkiwał szczeliny skalne Śnieżnych Kotłów, jaskinie naciekowe Połomu koło Wojcieszowa. Obok niego, w wykopanej w ziemi ostrymi pazurami jamie, żył leśny, tajemniczy pustelnik – borsuk. Łączyło go z niedźwiedziem podobieństwo zapadania w sen zimowy i podobne pożywienie.

W puszczy występowały też inne drapieżniki: rude lisy, szare wilki cętkowane rysie najbardziej lubiące urwiska skalne pod Chojnikiem i szare żbiki z tępo zakończonym w prążki ogonem. Z pomniejszych drapieżników były: kuny, tchórze, drobne krwiożercze gronostaje i małe łasiczki, które zmieniają co roku swe futerko – z brązowego latem, na śnieżnobiałe zimą.

Na brzegach rzek, mokradłach i bagnach wydry łowiły ryby i raki. Tutaj też gospodarowały pracowite bobry, od których rzeka



Św. Hubert polujący na jelenie w Puszczy Przesieckiej. Na podst. rys. autora wyhaft. Zofia Wasik. 2 obrazy (16x21 cm) są w Jeleniej Górze i Strzyżowcu.

płynąca przez Kotlinę Jeleniogórską wzięła swą nazwę. Te największe gryzonie wodno-ładowe, które tyleż w wodzie co i na

łądzie żyją i pracują, upodobały wówczas sobie głęboki jar od ujścia rzeki Kamiennej do Bobru, aż do przełomu obok Siedlęcina (dawniej Bobrowice). Ale żyły też na wielkich rozlewiskach Mokradeł Trzecińskich i bagnach wokół Jeleniej Góry, pod Chojnikiem oraz nad rzeką Kamienną.

Tam wykonywały bowiem różnorodne rzemiosło. Ścinaniem drzewa na brzegami wód zajmowała się grupa bobrów drwali. Odgryzały je przy ziemi za pomocą siekaczy – silnych przednich zębów. Powalały je tak sprawnie, że każde z nich padało, mimo znacznych rozmiarów, w zamierzonym kierunku. Szybko odgryzały gałęzie i wierzchołki, a kłodę spuszczały do wody.

Czekała tam inna grupa – holowników, która dostarczała pnie na miejsce budowy. Tam bobry – robotnicy budowlani stawiali groble – (tamę) dla podniesienia poziomu wody. W Borowym Jarze powstawało kilka sztucznych spiętrzeń rzeki, gdzie żyły w harmonijnej zgodzie przez wieki całe pokolenia bobrzych rodzin.

Polopolitym też w borach karkonoskich był ród jeleniowatych: łosi, jeleni, saren. Zapewne najmniej musiało być tych ostatnich, gdyż były łatwym łupem wielkich drapieżników, takich jak wilk i ryś. Tępiły one przede wszystkim osobniki słabe, okaleczone, chore lub niedorozwinięte tak, iż przy życiu pozostawały tylko te silne, zdolne do przedłużenia gatunku. W ten sposób w przyrodzie trwała doskonała równowaga.

Dawna knieja była rajem dla dzików. Ta czarna zwierzyna nie obawiała się człowieka ani drapieżników. Dla obrony łączyła się w ogromne watahy, prowadzone przez doświadczonych lochy (samice), w wiosennej porze posiadające potomstwo (warchlaki). Samotnie natomiast chodziły ogromne białokłowe odyńce, dochodzące do stada tylko w porze godowej.

Zając polny w dawnych czasach był rzadki. Nie jest zwierzęciem leśnym, a raczej stepowym, potrzebującym do życia otwar-

tych przestrzeni. Przybył do nas razem z osadnikami i znalazł sprzyjające warunki rozwoju, kiedy zaczęto uprawiać ziemię.

Ptactwo nie różniło się od dzisiejszego stanu odmiennością gatunków, lecz tylko rozpowszechnieniem. Tak jak wszędzie, tak i w Karkonoszach ptaki dzieliły się na przelotne, wędrowne i stałe. Do stałych mieszkańców lasu należały kurki leśne: głuszce, cietrzewie, jarząbki, również wielkie, czarne dzięcioły oraz mniejsze pstre sikorki, kowaliki i pełzacze. Z ptaków drapieżnych mieszkaly tu stale orły, w tym bielik przedni, a przelotnie sokół wędrowny, dwa jastrzębie gołębiarz i krogulec, myszołów i wszystkie rodzaje sów.

Z przelotnego ptactwa odwiedzały i odwiedzają te tereny przybываяc na wiosenne gody różnego rodzaju kaczki krzyżówki, cyranki, łyski i perkozy. Na zimę odlatują, chociaż niektóre krzyżówki zimują na niezamarzających oparzeliskach.

Słonki zimę spędzają w krajach śródziemnomorskich, wiosną goszczą parę tygodni w sudeckich lasach w drodze do północnej Finlandii, Szwecji, Norwegii, gdzie odbędą lęgi, aby jesienią ponownie w drodze z zimowisk zatrzymać się w naszych górach. Część z nich odbywa gody w tutejszych lasach.

Goście z północy spędzają w Karkonoszach zimę. Do nich należą: gile, jemiołuszki, krzyżodzioby, liczne rodziny drozdów i orzechówki. Na przełęczach w wiosennych i jesiennych przelotach można zobaczyć również: gęś gęgawą, bociany, szpaki, czajki, jednak wielu ptaków nie można zaobserwować, gdyż lecą nocą, albo latają na krótkich dystansach. Są to pliszki i kuraki błotne. Miejscowe dzikie gołębie, czaple i inne ptactwo błotne jesienią odlatuje nad Morze Śródziemne.

W epoce, którą nazwano puszczańską, ptaki wędrujące znajdowały wody i bagna, a przede wszystkim bezpieczeństwo i spokój w borach dolnośląskich. Znaczna ich część spędzała lato i wyprowadzała tutaj lęgi. Obecnie tych koniecznych warunków

w obrębie Dolnego Śląska nie znajdujemy, dlatego ptaki te są rzadkimi gośćmi w czasie przelotów.

Od niepamiętnych czasów północne stoki Karkonoszy i Kotlinę Jeleniogórską zamieszkiwało plemię słowiańskie – Bobrzan, których głównym zajęciem było myślistwo i bartnictwo.



Św. Hubert na łowach w puszczy nad Bobrem. 2 haftowane obrazy (40x18 cm), jeden znajduje się w Archiwum Miejskim w Jeleniej Górze.

Mówi o tym sama nazwa: „Bobrzanie”, mówią dokumenty: np. w 1217 roku poddani wleńskiej kasztelanii ze wsi Pilchowice, Nielestno i Strzyżowiec składali daniny w postaci skórek kunich, bobrowych i wiewiórczych, a także miodu.

Ludziom jeszcze poprzez wieki daleko było do opanowania tu przyrody. Mieszkańcy na skraju puszczy byli lichy uzbrojeni, ostrożnie i nieufnie skradali się i odkrywali puszcę za Bobrem. Była ona wówczas jeszcze niedostępna, pierwotna i trudna do przebycia. Kryła w sobie jednak wiele skarbów. Rosło też w niej wiele roślin leczniczych i uzdrawiających, była najbliższym spichlerzem żywności, mięsa, ciepłych skór i ryb dla zamieszkujących nad rzeką ludzi.

POSZUKIWACZE ZŁOTA

Swym bogactwem Puszcza Sudecka stojąca od wieków za rzeką, nęciła mieszkańców nadobrzezańskich grodów. W roku 1158 Bolesław Kędzierzawy wysłał swych poddanych w dolinę Jedlicy, obok dzisiejszej Przełęczy Okraj, doświadczonych poszukiwaczy złota znad Złotuchy – potoku dopływającego do Bobru. Założyli oni pod Śnieżką osadę o nazwie Żelazna Góra i zaczęli z głębi ziemi wydobywać kamień żelazny i przetapiać go w dymarkach nad Bobrem. Wytopione żelazo przekuwano w kuźnicach na miecze, noże i groty do strzał oraz płozy do sań. Z wdzięczności za pomyślne osiągnięcia brać górnicza w 1225 r. pobudowała tam św. Wawrzyńcowi drewnianą kaplicę pod jego wezwaniem, podobnie jak to robiono w Dziwieszowie obok pierwszych kopalń i szybów złota, które tam powstały. A było za co świętemu Wawrzyńcowi dziękować. Poza rudą żelaza puszcza na zboczach Śnieżki darzyła ich miodem, mięsem, skórą z niedźwiedzi i jeleni oraz runem leśnym, drewnem, grzybami, kruszcami i szlachetnymi kamieniami. Wówczas Żelazna Góra stała się sławna w Kotlinie Jeleniogórskiej.





Fot. Paweł Adamski

Kaplica św. Wawrzyńca na Śnieżce ze zrekonstruowanym ołtarzem, częściowo zniszczonym w 1812 r. i przeniesionym do Kaplicy św. Anny.



Fot. Paweł Adamski

Schronisko i kaplica św. Wawrzyńca na szczycie Śnieżki.



Pod bezdennym Wielkim Stawem w złotych komnatach mieszkał
Duch Gór „Rzepiór”.

KARCZMA MYŚLIWSKA NA ŚNIEŻCE

W pobliżu Żelaznej Góry przy Czarnym Grzbiecie prowadził „Stary Trakt – Śląska Droga” na Śnieżkę i do Czech. Tą drogą przez rzekę Łomnicę Bolesław Krzywousty w 1109 roku prowadził swoje wojska przeciw Czechom. Droga ta biegnie w przepięknym, skalistym krajobrazie i nie było tu wcześniej żadnej budowli.

Pierwszą budę pasterską pod Śnieżką wybudowano tu dopiero w połowie XVI wieku. Był to szałas pasterski na wzniesieniu Złotówki, zwany „Budą pod Śnieżką” lub Budą Daniela albo Ostatnią Budą w drodze na szczyt Śnieżki. Wielokrotnie przenoszono ją i przebudowywano ze względu na wydajniejsze źródła i ujęcia wody. Stała się ona później pierwszym ważnym obiektem na tym szlaku i w Karkonoszach.

W roku 1653 na szczycie Śnieżki powstawała, podobna do tej na Żelaznej Górze, kaplica pod wezwaniem św. Wawrzyńca. Ufundował ją Krzysztof Leopold Schaffgotsch. Budowało ją ponad pięćdziesięciu pańszczyźnianych chłopów z okolicznych wsi. Prace przy niej odbywały się w bardzo trudnych warunkach związanych z silnymi wichurami i opadami śniegu. Ludzie ci najpierw zamieszkali w Budzie Pasterskiej nad Złotówką, gdzie wcześniej zgromadzono materiały budowlane, głównie wapno i drewno do wznoszenia kaplicy.

Ówczesna Buda Pasterska pod Śnieżką stanęła na fundamencie kamiennym, była jednokondygnacyjna, zbudowana z belek drewnianych na planie prostokąta. Pokryta dwuspadowym dachem. Pod nim składano zebrane siano i wyznaczano miejsca do spania. Wchodziło się do niej przez długi ganek. W zachodniej części budynku była wielka izba sypialna z dużym kominkiem

pośrodku. Ogrzewał on pomieszczenie i odprowadzał dymy z paleniska. Szpary w budzie szczelnie zalepiono mchem i ziemią. Po wschodniej jej części było osobne wejście do zabudowań gospodarczych i na strych. Osobno wchodziło się do obory, gdzie trzymano krowy, oddzielnie też do piwnicy gdzie znajdował się zbiornik z przepływającą wodą. Z jej boku wykuto grootę, która pełniła rolę lodówki, a obok niej ubojnie zwierząt gospodarskich.



Pierwszą budę pod Śnieżką wybudowano w XVI wieku. Była to szopa pasterska na wzniesieniach Złotówki, zwana „Budą pod Śnieżką”.

Właściciel hodował ponad dwadzieścia krow, wyrabiając z mleka masło i sery. Kiedy pod koniec XVI wieku sprowadzono w Sudety broń palną, do ubojni trafiały również niedźwiedzie, jelenie i inne dzikie zwierzęta z puszczy. Przyrządzano z nich smaczne myśliwskie biesiady. Garbowano też skóry z niedźwiedzi, jeleni, borsuków i wilków. Z poroży wyrabiano

ozdoby pamiątkowe i proszkowano je na afrodyzjak. Grandle oprawiano w srebro robiąc piękne wisioriki i naszyjniki dla pań.

Był to początek końca groźnych zwierząt w górach. Powszechnie mieszkający tu wilk był zniechęcony za zbyt częste napady na zwierzęta domowe i ludzi, dlatego jego imieniem nazwano Wilczą Porębę (dzielnicę Karpacza). W Kowarach przy cmentarzu wykuto pomnik z kamienia, na pamiątkę napaści głodnego wilka na wracającą wieczorem do domu kobietę. Płacono też wówczas za zabicie wilka 3 do 4 reńskich talarów. Podobny los spotkał brunatne niedźwiedzie, których gawry licznie występowały pod Jagniątkowem, Przesieką, Michałowicami, Sobieszowem oraz w Śnieżnych Kotłach i w Górach Izerskich. Niestrudzenie też polowano na rysie, których ostoją była góra pod Chojnikiem, często odwiedzana przez strzelców i kłusowników.

Po otwarciu kaplicy św. Wawrzyńca na Śnieżce w roku 1665, ostatnia Buda Pasterska stała się jadalnią i noclegownią dla rzeszy turystów i pątników wędrujących na szczyt oraz bazarem handlującym porożem i akcesoriami myśliwskimi. Buda Pasterska na Złotówce stała się też bardzo popularnym i świetnym biznesem dla jej właściciela.

Drewniana kaplica na Śnieżce miała kształt kolisty. Za zgodą Kurii Biskupiej we Wrocławiu w dniu 10 sierpnia 1681 r. poświęcenia jej dokonał opat z Krzeszowa Bernard Rosa. Nabożeństwa odbywały się pięć razy do roku: w święta maryjne oraz 10 sierpnia w rocznicę patrona kaplicy. Przy okazji dzień ten ogłoszono „Świętem Śnieżki”. Każdego roku na msze do kaplicy św. Wawrzyńca przybywało wiele turystów z całego Śląska i Czech (od 200 do 800 osób). Były tu też odpusty i handel pamiątkami.

Ludzie udający się na Śnieżkę nocowali w Pasterskiej Budzie nad Złotówką, a i nierzadko, z braku miejsca w Budzie spali pod gołym niebem, narażając się na napady i pogryzienia przez niedźwiedzie oraz wilki, a zdarzało się to wówczas dość

często. Ci którym wyprawa na szczyt Śnieżki udawała się, najczęściej przy dobrej pogodzie oglądali rozgwieżdżone noce i spadające gwiazdy zwane „łzami św. Wawrzyńca”, a także cudowne wschody i zachody słońca, które jak magnes przyciągały ciekawskich.

Wówczas na Śnieżkę rzesze turystów i pątników wchodziły od 8 do 9 razy w ciągu roku. Pewien myśliwy chwalił się, że z wielką przyjemnością był na szczycie w ciągu roku już ponad 100 razy. Mówił, że po prostu lubił tropić niedźwiedzie i inną dziko żyjącą zwierzynę.

Cieplicy mnisi na szczyt Śnieżki wchodziłi pieszo, pokonywali wzniesienia i bagna, często brnęli w zaspach śniegu i przez rwące potoki, narażali się na niebezpieczeństwo wilków i niedźwiedzi. Po kilku groźnych przypadkach hrabia Schaffgotsch przydzielił mnichom i zakonnikom konie. Szły one drogami do Podgórzyna, Sosnówki, następnie do Kaplicy św. Anny na górze Grabowiec, przez wsie Miłków i Ściegny, następnie górny Karpacz i przez Polanę aż do Złotówki. Dalej wędrowano w górę do kaplicy. Koszty związane z podróżą mnichów na szczyt Śnieżki finansował hrabia Schaffgotsch.

W Budzie Pasterskiej często nocowali cystersi, zakonnicy z Cieplic Śląskich, którzy opiekowali się kaplicą na Śnieżce. Najczęściej przybywali parę dni przed uroczystościami w kaplicy, tutaj pozostawiali swoje szaty i naczynia liturgiczne. Jednak nie zgadzali się z hałaśliwym zachowaniem innych przybyszów w Budzie. Do niej strzelcy często przywozili na saniach ustrzeloną doliczającą się najczęściej niedźwiedzie i jelenie. Były tu one patroszone i chłodzone na wysokich słupach, a także garbowano z nich skóry. Każdego ranka i wieczoru, grane były na turzym rogu hejnały, w zależności od przywiezionej zdobyczy. Piwo i wódka z jodłowych szyszek oraz zapach smażonej wątróbki i głośnie śpiewy rozchodziły się po okolicy, zakłócały spokój mnichom przygotowującym się do uroczystości w kaplicy. Dlatego

w 1738 roku mnisi wzniesli obok Budy Pasterskiej swoje niewielkie „Schronisko Książęce”.

Kościelne władze z Wrocławia przerażone ilością groźnych wypadków z niedźwiedziami i wilkami w czasie tych wędrówek po Karkonoszach, postanowiły im zapobiec. Z dniem 8 marca 1812 r. decyzją Wrocławskiej Kurii Biskupiej nabożeństwa z kaplicy na Śnieżce przeniesiono do kościoła parafialnego w Cieplicach.

Odtąd kaplica św. Wawrzyńca na Śnieżce przestała pełnić swe pierwotne nabożne zadanie. Opuszczona i niezabezpieczona, doczekała się dewastacji, drzwi zostały w niej wyrwane, okna potłuczone, postument patrona kaplicy uległ zniszczeniu, a gonty dachu opalone.

W ostatniej chwili mnisi cysterscy wynieśli uratowany, choć okaleczony ołtarzyk patrona kaplicy św. Wawrzyńca, przenosząc go do kaplicy św. Anny na Grabowcu.

Jednak do całkowitego zniszczenia kaplicy nie doszło. Uratował ją handlarz skór Karol Siebenbauer z Cieplic. Hrabia Schaffgotsch wydzierżawił mu w 1824 r. kaplicę do celów turystycznych. Gospodarz ten zobowiązał się przystosować ją do celów gospodarczo-hotelarskich. Odtąd dawny Dom Boży miał pełnić rolę karczmy.

Po jego śmierci karczmę przejął mistrz szewski z Jeleniej Góry – Stockel. Przerobił całe wnętrze kaplicy tak, że odtąd pełniło funkcję schroniska i karczmy myśliwskiej.

Na głównej ścianie dawnej kaplicy zawisły dwie skóry z karkonoskich niedźwiedzi, a wśród nich wielki wieniec z jelenia szesnastka zdobytego nad Łomnicą, a pod nim zawisła groźna strzelba właściciela karczmy. Był też tam mały hotelik na dziewięć łóżek. Z zewnątrz karczma była okrągła, nad wejściem zdołał ją łeb karkonoskiego jelenia, na jej bocznych ścianach wisiały dzicze fajki reklamujące karczmę i zrzuty jeleni i rogaczy.



Z dniem 8 marca 1812 r. nabożeństwa z kaplicy św. Wawrzyńca przeniesiono do kościoła parafialnego w Cieplicach. W latach od 1824 do 1854 służyła celom turystyczno-gospodarczym, przyjęła wystrój myśliwski, gdzie serwowano przybyszom smaczną dziczyznę.

W jej wnętrzu serwowano zmęczonym i spragnionym turystom znakomity bigos myśliwski, jako przysmak myśliwską szynkę z dzika i flaczki z jelenia, dobrą myśliwską kielbasę z wódką, kawę oraz piwo i tabakę.

Sprzedawano tam też wygarbowane wilcze skóry, bardzo trwałe i ciepłe, które służyły za doskonałe kożuchy i ciepłe podściółki do spania i na ozdobę ścian, do ocieplenia sań i były bardzo popularne przy wykładaniu podłóg w chatach. Kupić można było też sadło z borsuków, które miało wielkie zastosowanie przy gojeniu ran oraz pszczeli miód i nalewki.

Stockel chętnie współpracował z myśliwymi ze Złotówki, którzy go nie tylko zaopatrywali w dziczyznę, ale także zapewniali bezpieczną wędrówkę na Śnieżkę. Łowcy przemierzając konno z bronią palną, skutecznie chronili szlaki na Równi pod Śnieżką przed napadami groźnych zwierząt na ludzi. Smaczne i tanie wyżywienie w karczmie Siebenbauera, mocne trunki, piwo i czyste powietrze, bliskość gwiazd i Boga spowodowało, że chętnych do odwiedzenia karczmy było bardzo wielu.

W tym roku niedźwiedzie wcześniej się obudziły, zauważono je wczesną wiosną na ścianie Małego Stawu. Ze skał schodził duży dorosły niedźwiedź i prowadził za sobą mniejszego piastuna. Chyba oba trafiły do Pasterskiej Budy, mówili o tym zakonnicy ze Schroniska Książęcego. Za namową oraz alkoholowymi poczęstunkami Stockela, przywieźli strzelcy do ubojni dwa niedźwiedzie. Podchmielona obstawa robiła wiele wrzawy i hałasu przy skórowaniu zwierzyny. Powstała awantura przy studzeniu zwierząt i nocne śpiewy, przebrały miarkę. Tak przez XVIII wiek myśliwskie uczyty i nocne hejnały i okrzyki wpisały się w ciszę Budy Pasterskiej pod Śnieżką.

Zaopatrywanie karczmy na Śnieżce było bardzo opłacalnym interesem, zwróciło to uwagę wielu ludzi oraz władz w Cieplicach. Widocznie za dobrze się powodziło gospodarzowi myśliwskiej

karczmy na Śnieżce, bo Hrabia Leopold Schaffgotsch zdecydował ponownie przekazać karczmę do kultu religijnego w 1854 roku.

Odtąd kaplica św. Wawrzyńca była czynna prawie do czasów II wojny światowej. Potem najwyższa góra Sudetów „Śnieżka” stała się w połowie XX wieku strategicznym punktem na mapie Europy. Jej 1602-metrowa wysokość dawała możliwość nasłuchu radiowego. Śnieżka przez wiele lat razem ze schroniskiem turystycznym i kaplicą św. Wawrzyńca oraz obserwatorium meteorologicznym służyły wojsku. Tam Wehrmacht zainstalował stację nadawczo-odbiorczą o nadzwyczaj wielkiej mocy. W roku 1945 urządzenia te miały być wysadzone w powietrze przez wycofujących się Niemców. Do zniszczenia stacji nie doszło, pomimo podłożenia pod nimi min.

Od 15 lipca 1945 r. zaczęła działać polska służba meteorologiczna na Śnieżce. Przez pewien czas obiektem jeszcze zarządzał Kurt Glass, dawny pracownik stacji radiolokacyjnej, po nim Śnieżkę przejęła Wojskowa Ochrona Pogranicza.



Śnieżka z lotu ptaka przed 1945 r.(zdjęcie z internetu)

KAPLICA ŚW. ANNY W POGAŃSKIEJ DOLINIE

Źródło św. Anny

Kronika z XIII wieku głosi, że w okolicach Górnej Sosnowki na górze Grabowiec, wypływa źródło, którego wody mają moc leczniczą i zbawienną. Do niego licznie zmierzają ludzie z wielu krajów, a ono przynosi im zdrowie i szczęście.

Przed wiekami pod swą opiekę wzięła źródło zwane Dobrym, św. Anna Samotrzecia – matka Maryi, babcia Jezusa

Imię Anna (hebr. *hanna* znaczy „łaska”), jest pięknym, jednym z najpopularniejszych imion w Polsce. Św. Anna jest patronką: szczęśliwego małżeństwa i dzieciństwa, matek, wdów, kobiet oczekujących dziecka, gospodyń, górników, tkaczy, tokarzy, stolarzy artystycznych, młynarzy, kramarzy, żeglarzy, krawców, koronkarzy, służących; jest wzywana w modlitwie o deszcz, o poprawę pogody, o znalezienie rzeczy zgubionych. Bardzo często przedstawiana jest z książką – symbolem nauki.

Później dzięki Bolkowi II księciu świdnicko-jaworskiemu powstała przy nim kapliczka, którą początkowo opiekowali się joannici, rycerze zakonnicy potężniejsi od templariuszy. Odtąd już wierni mogli pielgrzymować do „Dobrego Źródła” bez ryzyka spłonienia na stosie.

Powyżej źródła na Zboczach Grabowca stoją trzy grupy skał: Mała, Ostra i Patelnia. Na tej ostatniej jest punkt widokowy, niepowtarzalny dla podziwiania pięknych Karkonoszy. Już od dawna wiadomo było, że Patelnia jest sakrum, miejscem wielkiej mocy, miejscem bardzo silnie energetyzującym. Skała ta kumuluje w sobie wiele ziemskich kanałów energetycznych. W jej centrum wbito metalowy pręt dla zaznaczenia tej energii. Ponoć kumulowanie energii w skałach spowodowało, że kiedyś

znajdował się tu pogański stół ofiarny. Według legend, dawniej widywano jak na Patelnię zlatywały wiedźmy na miotłach. Dlatego ścieżkę wiodącą do „Dobrego Źródła” nazwano „ścieżką czarownic”. Woda płynąca poniżej w Pogańskiej Dolinie jest nasycona szlachetnym gazem – radonem. Czarownice zabierały ją na Patelnię w czasie sabatów, bo uważno tę wodę za cudowną.

Stara legenda głosi, że Bolkowy rycerz tropiąc przez siebie ranionego w lesie jelenia, dotarł za nim nad samo Dobre Źródło i w nim ujrzał kąpiącego się zwierza. Wielki Sudecki byk spokojnie, pełen sił wyszedł z wody na brzeg i zupełnie zdrowy powędrował w puszcę. Legenda o jego wyczynie przez wiele lat krążyła po okolicach i napędzała do źródła wiele chorych i kalekich osób. Potem ze źródła korzystały także osoby mieszkające daleko, nawet z innych krajów.



Ta popularna kapliczka została zniszczona w czasie wojen husyckich.
Obecną barokową postawiono w 1718-19 roku.

Miejsce wypływającej wody ze źródła jest obudowane kamiennymi płytami. W centralnym punkcie widnieje płaskorzeźba sudeckiego jelenia. Po obu jego stronach widać daty: rok wybudowania kapliczki 1212 i 1920 – rok odnowienia źródła i kapliczki przez hrabiego Schaffgotscha.

Ludzie dalej czerpią cudowną wodę ze Źródła św. Anny, bo uchodzi za leczniczą. Także w XIX wieku posłaniec każdego dnia przywoził ją do Cieplickiego Zdroju, do kąpieli w pałacu Schaffgotschów. Miejsce to upiększa rosnący obok ogromny stary klon-jawor o rozłożystej wysokiej na 30 m koronie i obwodzie pnia 450 cm.

Karkonoskie „Dobre Źródło” działa jak czekram, przy którym ludzie od pradziejów czczą siły natury. W lipcu każdego roku w kaplicy odbywa się odpust gromadzący mieszkańców i turystów. Przy tym też z „Patelni” podziwiają piękną panoramę Karkonoszy.



Wiewiórka-haft. Obraz (14x9 cm) znajduje się w Londynie.

W GÓRACH OLBRZYMICH

Polowano na niedźwiedzie

Z dawnych raportów myśliwskich wynika, że jeszcze w XVIII wieku w Karkonoszach polowano na niedźwiedzie, wilki, rysie i żbiki. Niedźwiedzie najdłużej przebywały po północnej stronie gór w okolicach Śnieżnych Kotłów, a po stronie południowej zajmowały obszary źródłowych dolin rzeki Łaby.

Za odstrzały w dobrach Schaffgotschów taryfa opłat z 1665 roku zawiera m.in. następujące pozycje: za niedźwiedzia – 4 guldeny i 48 krajcarów, za rysia – 6 guldenów, a za wilka i żbika po 1 guldenie i 12 krajcarów (ówczesna wartość guldena, który dzielił się na 60 krajcarów, odpowiadała w tym wypadku mniej więcej kwocie dzisiejszych 450 złotych).

Z zapisków myśliwych możemy się dowiedzieć, że w 1726 r. pod Śnieżnymi Kotłami, na terenie obecnego Karkonoskiego Parku Narodowego, odstrzelono trzy niedźwiedzie, w 1734 r. – dwa, a w 1736 r. już tylko jednego. Ostatniego niedźwiedzia upolowano w Karkonoszach u źródeł, które dają początek rzece Łabie, w 1775 roku (inne źródło mówi o roku 1802).

W wyniku nie zawsze przemyślanych działań do końca w XVIII wieku pierwotna szata leśna Karkonoszy uległa znacznemu zniszczeniu. Lasy cofnęły się pod naporem osadnictwa, pasterstwa i powstającego tu przemysłu. W tym czasie obszar poręb i halizn zajmował 30% powierzchni leśnej. Miało to znaczny wpływ na zniknięcie niedźwiedzi, rysia, wilków i żbików. Podobny los spotkał w Karkonoszach w nieco późniejszym czasie bobry, wydry, a nawet dzikie króliki. Niedźwiedź niegdyś był pospolity we wszystkich lasach Polski i Litwy. Obecnie występuje pojedynczo w Tatrach i w Bieszczadach (około 50 szt.), a jako gatunek ginący objęty został ochroną.



Niedźwiedzie po północnej stronie Gór Olbrzymich (Karkonoszy)
żyły jeszcze na przełomie XVII i XVIII wieku.

ZAPRASZAM DO OGRODU RZEPIÓRA

Stara karkonoska legenda opowiada o sporze diabła z Duchem Gór Rzepiórem o władzę nad tą krainą. Zwycięzcą miał zostać ten kto stworzy najpiękniejszy ogród w Sudetach. Udało się to Rzepiórowi, któremu dzisiaj zawdzięczamy zieleń gęstym kobiercem pokrywającą górskie stoki, pola i lasy, gdzie wśród pachnących ziół przychodzą na świat sarny, jelenie, muflony i dziki, a z ptaków – głuszce, cietrzewie, sokoły i słonki.

Wiosna wybucha tu nagle. Wczesnym rankiem, po ciemnej jeszcze nocy, rozbrzmiewa głuszcowa pieśń w Sowiej Dolinie. W Izerach i na Czarnym Grzbiecie, w wymarłym lesie rozlega się bełkotanie cietrzewi. Swą skrytą pieśnią głoszą one nową radość życia.

Później już nie poruszy gałązki najmniejszy powiew wiatru. Upał leje się z bezchmurnego nieba. Teraz przychodzą na świat młode zwierzęta i ptaki. Rześki chłód spływa z zaśnieżonych jeszcze Kotłów i koi grubego odyńca, który niedawno ukradkiem wrócił zmęczony z nocnej, złodziejskiej wyprawy.

A już liście buków się zaczerwieniły, pokryły patyną śnieży, złota i żółci. Srebrzy się babie lato na przełęczach, a po kniei odzywa się królewski zwierz.

Nagle biały puch stroi łąki i lasy, przybiera góry jakby do ślubu. Dzik ostrożnie stawia kroki, by nie zdradzić swej kryjówki. I tylko szaraczek nie robi sobie nic z ponowy i kurzy się za nim śnieg tumanami.

W każdej porze roku zapraszam do tego cudownego ogrodu Rzepióra z kamerą, lornetką i notatnikiem!



Z dawnych zapisków myśliwskich dowiadujemy się o polowaniach na niedźwiedzie i wilki w Karkonoszach. Kaleczyły i straszyły one pątników wędrujących do Kaplicy na Śnieżce.



Watahy wilków były cenione ze względu na ciepłe futra.



Tury wyginęły w Polsce w 1627 r.-podobne do tura jest bydło szkockie hodowane koło Bolkowa.

„Sudecka Kraina Łowów”

Kraina Górską Zachodnią

Dolny Śląsk od najdawniejszych czasów zamieszkiwany był przez Słowian, o czym świadczą nazwy gór, rzek i osad, ich nazwy zachowały się w starych dokumentach. Podobnie jak Śląsk, cała Ziemia Jeleniogórska należała wówczas do linii Piastów Świdnickich, bardzo trwale związanych z polskością. Byli bowiem oni wiernymi poddanymi Łokietka i Kazimierza Wielkiego. W tym też czasie kraina ta szczyciła się okresem dobrobytu i zaludnieniem pustych górzystych obszarów, porośniętych starymi borami. W późniejszych okresach ziemie te należały kolejno do Czech, Polski, Austrii i Niemiec.

Sudecka Kraina Łowów obejmuje obszar wyznaczony od południa granicą państwa z Czechami, a od północy linią Złoty Stok, Dzierżoniów, Góry Kaczawskie aż do Zgorzelca.

Kraina Górską Zachodnią była niegdyś pokryta zwartymi lasami. Łagodne pasma gór przecinała duża ilość dróg. Klimat jest tu łagodniejszy niż we wschodnich Sudetach, krócej leżą śniegi, a bardzo urozmaicony krajobraz sprzyja bytowaniu zwierzyny łownej, takiej jak: jelenie, dziki, muflony, sarny i głąszce. Znajdują się tu najwyższe pasma górskie Sudetów – Karkonosze ze Śnieżką i Góry Izerskie.

Blisko 1/3 część powierzchni Zachodniej Krainy Łowieckiej zajmują lasy. Na niższe partie składają się lasy liściaste, przeważnie bukowe i dębowe, wyżej zaś rosną lasy iglaste, a jeszcze powyżej nich spotykamy skarłowaciałe świerki i gęste kobierce kosodrzewiny. Do osobliwości należą wysokogórskie torfowiska, brzoza karłowata – zabytek epoki polodowcowej oraz mchy i porosty.

Ziemia Jeleniogórska dzięki swoim walorom krajobrazowym, występowaniu wód leczniczych i specyficznemu klimatowi jest licznie odwiedzana przez turystów, począwszy od XVII wieku. Jednym z najpiękniejszych miast Dolnego Śląska jest Jelenia Góra leżąca na wysokości około 300 m n.p.m., w kotlinie otoczonej górami.



Średniowieczna wieża rycerska w grodzie nad Bobrem.-haft.
Obraz nr1 (21x30 cm) znajduje się w Poznaniu.

Piękny jest też szereg innych miasteczek, osiedli i uzdrowisk, takich jak Cieplice, Świeradów Zdrój, Szklarska Poręba i Karpacz, malowniczo rozciągniętych wśród gór.

Na skutek rozwoju przemysłu zagładzie ulegały pierwotne puszcze liściaste. Ich miejsce zajęły jednolite obszary szybko rosnącego świerka. W Sudetach wyginęło wiele zwierząt, w tym niedźwiedź, ryś, żbik, kozica i wilk. Jeleń górski, dawny miesz-

kaniec Karkonoszy, na skutek skrzyżowania z jeleniem nizinnym, stracił cechy jelenia górskiego. Zaaklimatyzował się tutaj muflon, który jest charakterystyczny dla Górskiej Krainy Łowieckiej. Bytują tu też liczne sarny, dziki, głuszce, cietrzewie, słonki i wiele drapieźników.

W Karkonoszach i na Pogórze poluje się na jelenie, dziki, rogacze, lisy, rzadziej na zające i kaczki. Ssaki Karkonoszy już od bardzo dawna budziły ogromne zainteresowanie. Na skutek ingerencji człowieka świat ich uległ jeszcze większym przeobrażeniom niż szata roślinna. Po wielkich drapieźnikach pozostały tylko nazwy niektórych miejscowości, np. Wilcza Poręba – dzielnica Karpacza, zapisy w dawnych raportach myśliwskich oraz w listach odstrzałów z XVII-XVIII wieku. Ówczesne raporty leśne i wzmianki w kronikach parafialnych przytaczają często opisy napaści wilków na ludzi, szczególnie zimą.

W wyniku złej gospodarki łownej, niedźwiedzie, wilki i ryś zniknęły z terenów Karkonoszy. Podobny los spotkał wydry, bobry i borsuki. Ocalała jedynie zwierzyna płowa, choć była również przedmiotem masowych odstrzałów. W roku 1823 na terenie nadleśnictwa Sobieszów odstrzelono 103 rogacze i sarny, w 1930 roku aż 172 sztuki. Pomimo tak intensywnych polowań jelenie i sarny przetrwały. Jeleń stał się największym zwierzęciem Karkonoszy. Podczas chłodnych, słonecznych dni pięknej i złotej polskiej jesieni, daje o sobie znać basowym rykiem, który dociera aż ponad granice lasu.

Sarna występuje szczególnie w niższych częściach Pogórza Karkonoskiego, bytuje najchętniej na obrzeżach małych lasków. Jej stan ilościowy w Karkonoskim Parku Narodowym według danych dyrekcji w latach osiemdziesiątych wynosił 185 sztuk, w tym 28 rogaczy, a reszta to kozy i kozłeta. Na terenie dawnego województwa jeleniogórskiego w dzierzawionych obwodach

PZŁ w latach 1993/94 stan saren wynosił 7234 sztuki, w tym 2928 rogaczy. Pozyskano wówczas 2207 saren i 1037 rogaczy.

Najwięcej medalowych parostków myśliwi pozyskali na Pogórzu Izerskim i Kaczawskim. Poroża rogaczy są tu zdecydowanie lepsze niż w innych rejonach Karkonoszy. Często czarne, pięknie uperlone, grube parostki charakteryzują sarny z bogatych liściastych ostępów leśnych.



Spękana, granitowa skała Chojnika była dla rysy wyśmienitym terenem do zakładania pieleszy.

Myśliwi szczycą się wieloma złotymi medalami za zdobyte tu parostki, a odstrzał prowadzony jest jako selekcyjny.

Aktualny stan saren w dającej się przewidzieć przyszłości nie powinien ulec zubożeniu. Istniejący Karkonoski Park Narodowy i wydająca na nim gospodarka łowiecka sprzyja utrzymaniu obecnego poziomu zasobów jakościowych i ilościowych zwierzyny łownej.

BARAN SKALNY W SUDETACH

W październiku 1946 roku Łowiec Polski pisał: „Na terenach Dolnego Śląska, w Górach Olbrzymich, spotykamy rzadko widywanego w Europie barana skalnego, tak zwanego muflona. Góry te nie są krajem macierzystym muflona, a zaaklimatyzowanie jest sprawą zaledwie ubiegłych lat trzydziestych. W 1909 roku na skutek zabiegów magnata leśnego Schaffgotscha, firma węgierska Juliusza Moora sprowadziła do lasów jagniątkowskich z Korsyki 5 baranów i tyleż owiec, które zostały wypuszczone w naturalne łowiska górskie Jagniątkowa, Szczęsnowa i Matejkowic. Zaktualizowanie muflona korsykańskiego, mimo zabiegów hodowców, nie powiodło się. Barany i owce chorowały, nie rozmnażały się i w sposób widoczny cherlały. Wówczas zdecydowano się na całkowite zlikwidowanie pozostałych jeszcze przy życiu egzemplarzy, aby w ich miejsce sprowadzić muflony z Sardynii, bardziej odporne na zmienione warunki życia. W 1913 roku, a więc w przedzie dnia I wojny światowej, przywieziono i wypuszczono w ogrodzony teren górski w Szczęsnowie o pow. 150 ha – 25 sztuk muflonów sardyńskich.

Po upływie 5 lat, gdy widocznym się stało, iż muflony na tym terenie czują się dobrze i rozmnażają się normalnie, zniesiono ogrodzenie i wypuszczono je do środowiska naturalnego. Eksperyment aklimatyzacyjny udał się w całej pełni, tak iż w roku 1935 naliczono już ponad 350 sztuk i stan ilościowy powiększał się szybko z roku na rok. Poroża wykazywały doskonały rozwój i nie ustępowały porożom sardyńskich braci. Stosunek płci normował się jak jeden do jednego.

Ulubionym miejscem muflonów stały się skaliste góry, pokryte młódnikami i szlachetnymi trawami, głównie odmianą rajgrasu. W czasie rui, która następuje w końcu października i kończy się w pierwszych dniach listopada, emigrują muflony do lasów granicznych czeskich, aby po skończeniu się rui powrócić na dawne leże.”



Po II wojnie światowej stan muflonów wynosi zaledwie 35 do 50 sztuk. Na całym terenie Karkonoszy istniała uzasadniona obawa, iż piękny ten zwierz, którego charakterystyczna sylwetka napawała turystów i myśliwych rozkoszą i emocją, wyginie zupełnie i stanie się mitem. Na skutek konieczności dokarmiania i widoku ludzi zwierz ten stał się mało ostrożny i padał pastwą kłusowników.

Chcąc po wojnie uratować resztki muflonów przed zagładą Wojewódzka Rada Łowiecka Dolnego Śląska zwróciła się z gorącym apelem do wojewody, aby nałożyć ostre kary, a mianowicie za zabicie muflona 30 000 zł grzywny, z czego 50% byłoby przeznaczane na ręce sierot po polskich partyzantach w walce z okupantem, a 50% na rzecz wykrywającego przestępstwo. Poza tym Wojewódzka Rada Narodowa ustanowiła subsydlum w wysokości 36 tys. zł rocznie na ochronę muflonów.

Od 1 lipca 1947r. stały strażnik patroluje rewiry i jest nadzieja, że przy pomocy funkcjonariusza Lasów Państwowych plaga kłusownictwa przestanie zagrażać wytępieniu muflonów.



Wędrując ścieżką przyrodniczą na Chojnik można spotkać sarny,
a także muflony – dziką owcę górską.



Z SUDETÓW NA POMORZE

ZE STARYCH KRONIK I WYDAWNICTW

Na najwyższym wzniesieniu Pomorza Wschodniego – pisał „Łowiec Polski” – w tzw. Szwajcarii Kaszubskiej koło Wieżycy w pow. kartuskim (332 m n.p.m.) spotkałiśmy parę muflonów. Rzadkie to u nas zwierzę sprowadzone zostało tu z Dolnego Śląska w ilości 9 sztuk i znajdując dla siebie odpowiednie warunki wzrosło przed wojną do 18 sztuk. Po przetoczeniu się wojny pozostały przy życiu zaledwie dwie sztuki, tryk i owca, dając nadzieje na rozmnożenie.

Muflon – baran górski ma w Europie ostoję na Krecie i w Sardinii, skąd sprowadzony był dla celów aklimatyzacyjnych na Dolny Śląsk i na Krym.



Jest to zwierzę wybitnie leśne, trzymające się zalesionych wzgórz. Żywi się trawą, wrzosem, jagodami, liśćmi, buczyną i żołądziami.”

W HERBIE SUDETÓW

Czym dla Puszczy Białowieskiej jest żubr, dla Tatr – kozice, tym dla Sudetów muflon. To piękne zwierzę jest symbolem Sudeckiej Krainy Łowów.

Po II wojnie światowej okazało się, że stan muflonów w Karkonoszach (wtedy nazywanych Górami Olbrzymimi) spada w zastraszającym tempie. Inwentaryzacja przeprowadzona w lipcu 1945 roku wykazała, że stan baranów górskich, jak nazywano muflony, wynosił zaledwie 35 sztuk. Znaczne straty czynili kłusownicy.

W restauracji w Sobieszowie w jadłospisie widniały, jako specjalność kuchni, dania i potrawy z muflona.

Leśnicy i myśliwi zaniepokojeni możliwością wyginięcia tego pięknego przybysza z Sardynii, który już zdążył wrosnąć w pejzaż Karkonoszy, chcieli go zachować i ochronić dla przyszłych pokoleń.

Powstałe w Jeleniej Górze w listopadzie 1945 roku pierwsze na Dolnym Śląsku Stowarzyszenie Myśliwskie przyjęło nazwę "Muflon", dla podkreślenia wagi zagadnienia w ochronie górskiego barana.

Dopiero jednak kompleksowa działalność Dolnośląskiej Rady Łowieckiej z siedzibą w Jeleniej Górze, a raczej prezesa Rady Tadeusza Igelströma Szola przede wszystkim, przyczyniła się do uratowania muflona i zwiększenia jego populacji na Pogórze i w Karkonoszach.



Dziki baran skalny sprowadzony z Korsyki, początkowo jako zwierzę mający stanowić rozrywkę strzelecką, rozszedł się

po górach, a z biegiem lat stał się zdomowionym i symbolicznym mieszkańcem Sudetów.

Urzekający jest widok stada pozornie ciężkich, krępych muflonów, gdy pną się po skałach z niebywałą lekkością. Tryki noszą na łbie grubonosym skręcone ślimy (rogi), czerniawą suknię z białym siodłem na brzuchu. Owce są bezrogie.

O muflonie możemy mówić jako o zwierzęciu przyszłości naszych terenów górskich. Jest wyjątkowo wdzięczny dla hodowli, a że nie czyni najmniejszych szkód w uprawach rolnych i leśnych, może być przesiedlony w Karpaty i w Góry Świętokrzyskie. W tym właśnie celu stworzono ośrodek hodowlany Polskiego Związku Łowieckiego w nadleśnictwie Sobieszów, gdzie stan muflonów w 1952/53 r. wynosił ponad 150 sztuk. Hodowla ta miała się stać bazą odłowów i przesiedleń muflonów.

„Polowanie na muflony jest jedynym specyficznym polowaniem w Karkonoszach i na Pogórzu”, pisała prasa łowiecka w latach pięćdziesiątych.

„Polujemy na muflony na podchód i zasiadkę. Sam podchód należy do wyczynów sportowych dużej miary. Muflon jest zwierzęciem bardzo ostrożnym, podejście go wcale nie jest łatwe, a ponadto teren, w którym szukamy krętorogiego tryka, jest z natury bardzo uciążliwy.

Najlepszy okres polowań to czas rui (listopad), kiedy to muflony łączą się w kierdele, bądź też w dni mroźne (miesiące styczeń, luty), gdy schodzą w niższe partie gór i trzymają się kotlin.

Jest bardzo ciekawą rzeczą, że ten stosunkowo niewielki zwierz (waga 4-6 – letniego dorosłego tryka wynosi do 50 kg) jest niezmiernie twardy na kule. Nawet najlepiej trafiony, nie markuje (zaznacza) otrzymania postrzału, daje też bardzo mało farby.”

Dziś w Karkonoszach utrzymuje się stan muflonów w granicach 100 sztuk. W sezonie 1995/96 było ich 93 sztuki, w tym 33 tryki, 60 owiec, przyrost wynosił 36 osobników. W sezonie

1996/97 naliczono ich 86. Plan odstrzałów muflona corocznie wynosi prawie 20 sztuk. W tych polowaniach uczestniczą także myśliwi dewizowi, ratując w ten sposób kasy kół łowieckich. W styczniu 2012 roku w Okręgu Jeleniogórskim bytowało 66 muflonów.



Obecnie populacja muflonów w Karkonoszach jest niewielka, jednak ciągle utrzymuje się w Parku – najczęściej w okolicach Chojnika oraz Żaru.

Karkonoski Park Narodowy (KPN) powstał w 1959 roku, a Czeski Karkonoski Narodowy Park (KRNP) powołano w 1963 roku. W obu parkach żyją muflony. Wszystkie dziko żyjące zwierzęta nie znają granic i swobodnie poruszają się po sudeckich lasach.

ZATRZYMAŁ JE BŁYSK OBIEKTYWU

Na moją kryjówkę wybrałem wystającą wysoko skałę. Najpierw do niej piąłem się prawie prostopadle pod górę, forsowałem skalne osypisko. Potem z wielkim wysiłkiem wdrapałem się na szczyt. Obolałymi rękoma zamontowałem statyw i teleobiektyw, pomierzyłem światło i zamarłem w bezruchu.

Szczyt osłaniała świerczyna. Dobrze mnie maskowała. Miałem wgląd na stromo spadające zbocze, gdzie spodziewałem się grubonosego tryka. Dzisiaj przybyłem tu wcześniej niż zwykle, by nie zakłócać spokoju, kiedy nastanie jasny dzień.

W Piekielnej Dolinie panowała zupełna cisza, nawet najmniejszy wiaterek nie kołysał trawami. Pierwszy na zboczu pokazał się rudy lis i baraszkował wśród skałek, zaglądając z ciekawością niemal pod każdą z nich. Spodziewał się tam sytego kaska na śniadanie.

Naraz moje serce zabiło jak dzwon. Od największej ze skał oderwał się baran i stanął jak posąg na cokole. Miał piękny kożuch, karbowane, skrecone w niedokończoną spiralę ślimy. Ten widok był dla mnie całkowitym zaskoczeniem, dlatego chwyciłem najpierw za lornetkę i potwierdziłem to spotkanie w jej szklach. Kiedy podniosłem kamerę, muflona już nie było. Jednak tego nie żałowałem, bo i tak bym nie zdążył zarejestrować tej sceny na filmie.

Jego sylwetka i dojrzałość wskazywały na rzadki okaz, a to co nosił na łbie chciałybym mieć w pokoju na ścianie! Ach gdybym był myśliwym i spotkał się z nim pięćdziesiąt lat temu, to nie podarowałbym mu tej głowy.

Znów jak przedtem nastąpiła cisza. Niepotrzebnie teleobiektyw nakierowałem na skałę, skąd wypłoszyłem tryka. Przepadł jak kamień w wodę. Mimo otwartej przestrzeni już go więcej nie spotkałem.



Jeszcze przez chwilę miałem przed oczami tę mydlaną oparę, gdy zobaczyłem ciągnące spokojnie pod górę z samego dna wąwozu owce. Osobno na końcu szedł tryk, poganiając jedną z nich. Ku memu zaskoczeniu muflony szły spokojnie i się zupełnie nie bały. Na pewno słyszały szelest mej kamery, ale na niego nie reagowały. Odłożyłem na chwilę aparat i spokojnie czekałem na zbliżenie się ich do mej czatowni. Byłem przekonany, że nie zmienią wydeptanej przez siebie ścieżki.

Nagle w niewielkiej odległości ode mnie zatrzymał je błysk mego obiektywu. Chwyciłem w wizjer najpierw bliższe owce i jak opętany przyciskałem spust kamery. Potem obraz przeniósłem na tryka, który zdziwiony przyglądał mi się przez dłuższy czas.

FATALNA POMYŁKA

Wielowiekowa działalność gospodarcza człowieka w Karkonoszach przyczyniła się do wyginięcia wielu gatunków zwierząt i ptaków. Ostatni niedźwiedź został zastrzelony w Obrim Dole pod Śnieżką w 1802 roku. Wytępiono rysie, żbiki, wilki, orły, puchacze i wiele innych gatunków.

Obecnie w Karkonoszach najczęściej rzucają się w oczy, wszędobylskie sikorki, mniej natomiast poważne dzięcioły, krzyżodzioby, orzechówki, klejnot naszych ptaków – zimorodek (często widziany w Borowym Jarze) i pluszcze. Na niebie najczęściej krążą myszołowy, a czasem zagląda tu sokół. Ubóstwo ptaków drapieżnych jest cechą tych gór.



Do gatunków ptaków gniazdowych należą: jarząbek, krogulec, trzmiełojad i kobuz. W Karkonoszach gniazdowanie orła przedniego ostatni raz stwierdzono w 1864 roku w rejonie



W 1909 r. na skutek zabiegów hrabiego Schaffgotscha sprowadzono muflony do lasów Jagniątkowskich w Karkonoszach.



Muflony rozeszły się po górach i zadomowiły w Karkonoszach.



Szklarskiej Poręby, a raczej na 30-metrowych urwiskach wzdłuż rzeki Kamiennej, w Kruczych Skałach na skalnej ścianie.

Orzeł przedni występował w okolicach wybitnie górskich, miał ponad dwumetrową rozpiętość skrzydeł, był muskularnej budowy ciała, o żółtych, zakończonych szponami nogach. Gniazdował na niedostępnych szczytach, budował pielesze (okrągłe gniazda) pod nawisami skalnymi lub w konarach potężnych drzew. Ptak ten dochowuje wierności jednej samicy. W okresie wylęgu młodych, orły stawały się najniebezpieczniejszymi drapieżnikami dla wszelkiej prawie zwierzyny. Począwszy od cielaka do jelenia i sarny, wszystko ulegało potężnej sile jego dzioba i przemocy ostrych szponów. Polował wytrwale i niezmordowanie. Rozpoczynał łowy skoro tylko świt rozwiął nocne mgły. Lecąc nisko nad ziemią wydawał przeraźliwy głos, który budził grozę, powodował ucieczkę przestraszonego zająca czy sarny, zrywał do lotu ptactwo.

Najchętniej odwiedzał duży obszar mokradel i bagien w widłach Wrzosówki i Podgórznej, stawów hodowlanych „lisiego dołu” i „stawu kresowego” pomiędzy Podgórzynem, Sobieszowem i Cieplicami, gdzie termalne źródła powodowały ich niezamarzanie. Po wiosennych roztopach tworzyły się tu niedostępne rozlewiska, zarosnięte wysokimi trzcinami, będące rajem dla ptactwa wodnego, a także świetną kryjówką dla saren, dzików, a nawet jeleni. Tu miał w porze letniej swoją spiżarnię. Ona gwarantowała mu możliwości wykarmienia dwojga potomstwa okrytego białym puchem.

Człowiek, wkraczając coraz wyżej w Karkonosze, nie chciał się dzielić z przyrodą. Największe spustoszenie czynił wycinając stare drzewa, takie jak buki, dęby, sadząc na to miejsce monokulturowe świerkowe lasy. W ten sposób nieświadomie zniszczono ptasie gniazda i świat zwierzęcy.

Na orła też polowano. Łowy takie jednak należały do rzadkości, a później były przypadkowe. Orzeł jest drapieżnikiem o niezmiernie bystrym wzroku, jakim poszczycić się nie może żadna inna zwierzyna. Zatem łowy odbywały się pod upatrzoną pieleszą, w czasie, kiedy stare orły znosiły żer dla potomstwa. Czatowano też przy podrzuconej padlinie, jako przynęcie. Wymagało to jednak cierpliwości i wytrzymałości na zimno, ukrycia się w skałach lub wydrążonych pniach starych drzew.

Mimo tego, że polowano na orły i nie pozwolono im na gniazdowanie w górach, to jednak na niebie można było jeszcze po wojnie zobaczyć sylwetkę samotnego orła. Nie wiadomo czy był to przybysz zza gór, czy też rodowity ptak.

Przy okazji polowania na kaczki, późną jesienią 1947 roku, na Stawach Podgórzynskich jeden z myśliwych zauważył, że jakiś ciemny, wielki ptak próbował zatrzymać i rozszarpać młodą sarnę. Przypuszczając, że jest to jastrząb, którego się wówczas zwalczało jako szkodnika, strzelił do niego. Jak się potem okazało był to młody orzeł przedni, który korzystał ze zwierzyny występującej w obfitości w wysokich trzcinach pod obecnym Domem Dziecka „Dąbrówka” w Cieplicach. Rozpiętość skrzydeł miał prawie 2 metry, krótki zaokrąglony ogon i szerokie skrzydła, ciemną głowę, białą przepaskę na spodzie skrzydeł i taką samą nasadę ogona, choć białe barwy już stopniowo zaniały, co by świadczyło, że liczył około trzech lat. Okazało się, że był to przybysz zza gór.

Zapoczątkowana przebudowa szaty roślinnej Karkonoszy pozwoliła powrócić do nas temu jednemu z największych ptaków drapieżnych na swoje dawne tereny po 2000 roku. Zaobserwowano go w lasach Jagniątkowskich Karkonoskiego Parku Narodowego.

Orzeł przedni jest obecnie ptakiem, którego liczebność stale się zmniejsza. Jest pod całkowitą ochroną gatunkową.

MOKRADŁA TRZCIŃSKIE

Pomiędzy Trzciniem, Radomierzem a Maciejową w Kotlinie Jeleniogórskiej jeszcze do niedawna rozciągały się Mokradła Trzcinięskie. Prace melioracyjne pozostawiły jedynie niewielki fragment owego unikalnego w tej części kraju tworu przyrody, ze skupiskiem boru bagiennego i wysokogórskich torfowisk.

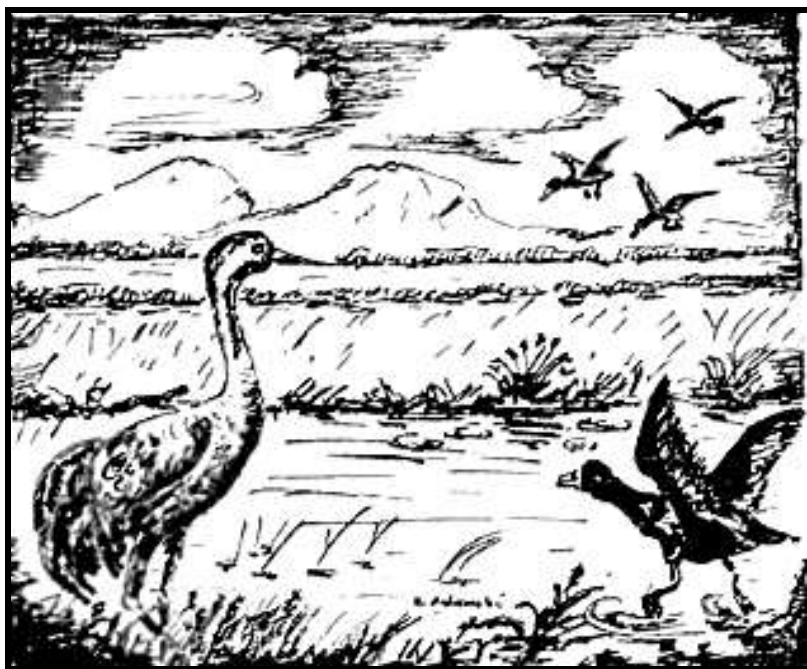
Dziś tereny te wchodzą w skład Rudawskiego Parku Krajozrazowego, razem z jeziorem w Sosnowce, Stawami Podgórzynskimi i Karpnickimi oraz rzeką Bóbr. Niegdyś stanowiły raj dla ptaków wodnych. Jeszcze do dziś spotyka się tu bociana czarnego, żurawie, cietrzewie i wiele gatunków nurów oraz perkozów, rybołowa, sokoła, ale przede wszystkim różnorodność dzikich kaczek.

Po zamarznięciu stawów i mokradeł, kaczy świat przynosi się na płynący wartko Bóbr. Kaczki żerują na zakolach, ukrywając się w nadbrzeżnych wierzbach i wykrotach. Tutaj Bóbr ma cechy rzeki górskiej. Wypływa w Czechach z Boberskiej Strani, tuż za granicą Polski, z wysokości 780 m. Charakteryzuje się dużym spadkiem wody i kamiennym dnem. Jednak na zakrętach tworzy spokojne miejsca, zwane „kaczymi siadłami”, które sobie upodobały kaczki.

Każdej jesieni myśliwych przyciągają stada krzyżówek, które mają tu dobre warunki bytowania, nie zamarzającą wodę i żyzne pola wokół rzeki, stawów i żwirowni. Kiedy nie dotarła do tego miejsca jeszcze melioracja, lęły się setki kaczek, a przeloty dużych stad można było obserwować każdej jesieni. Dziś jest ich o wiele mniej, ale tradycyjnie poluje na nie jeszcze wielu myśliwych.

Na kaczki wybrałem się w mgliste, listopadowe popołudnie, nie obiecując sobie większego sukcesu. Dzień był ciepły, co

zdarza się tu niezmiernie rzadko o tej porze roku, kiedy szczyty Karkonoszy pokrywa już czapa białego śniegu. Idąc w górę rzeki po nadbrzeżnych wertepach, podmokłych łąkach, przedzierając się przez krzaki, nawet nie zauważyłem jak na jasnym niebie ukazała się chmara ptaków. Reakcja moja była jednak zbyt późna. Nie zdążyłem się złożyć, kiedy inne stadko z potężnym szumem skrzydeł przemknęło tuż nad moją głową i z głośnym pluskiem siadło na rzece. Wtedy dopiero przypomniałem sobie o mojej dubeltówce, mocniej uchwyciłem ją w dłoni i starałem się być czujny.



Rudawski Park Krajobrazowy nadal odwiedzany jest przez żurawie.

Strzelam, spóźniam się i pudłuję!

Miałem przed sobą jeszcze kilometr krętej drogi, kiedy nadleciało następne stadko. Zdążyłem się w porę poderwać i do osobno defilującego kaczora wypaliłem z obu luf, jednak bez efektu.

W podnieceniu pomyślałem, że nie jest ze mną dobrze. Czyżbym zapomniał o wyprzedzeniu? Prawie drżącymi palcami włożyłem do lufy dwa następne naboje. W tym czasie znów kilka kaczek przelatywało nade mną.

Strzelam, spóźniam się i pudłuję!

A to pech! Muszę się uspokoić. Strzelam zbyt nerwowo. Staram się nie patrzeć w niebo, skąd częsty świst kaczyczych skrzydeł przypomina mi o ich obecności. Podchodzę nad brzeg rzeki nad „kacze siadło”. Znam je od wielu lat. Jest usytuowane na dużym zakręcie Bobru, osłoniętym wierzbą i olchami. Z podmokłych łąk wpływa tu mały, grząski strumyk. To przyrzeczne oparzelisko nigdy nie zamarza i kaczce stadka często tu siadają.

Ukryłem się w starym, wypalonym pniu wierzby, kiedy nadleciały kolejne kaczki. Strzeliłem do drugiego w szyku kaczora i poprawiłem do ostatniego.

Pierwszy spadając głucho uderzył o ziemię, drugi, jak czapka zatrzymana na wietrze, z rozłożonymi skrzydłami wylądował na wodzie. Zaraz też znikł w nurcie rzeki, który tu z bryzgami przelewał się po licznych kamieniach uniemożliwiając obserwację.

Podniosłem pierwszego, pięknie ubarwionego i wyrosniętego kaczora i mimo, że pojedyncze kaczki teraz przelatywały nad głową, powróciłem nad brzeg. Sprawdzałem wszystkie zakamarki i szczeliny w kamieniach, podnosiłem kloce, które rzeka naniosiła. Niepotrzebnie, jak się okazało, bo mój drugi kaczor leżał obok pnia, ze cztery metry od brzegu.

Wyraźnie widzę, że leży. Kiedy jednak mam go podnieść, zrywa się i wpada w nurt, usiłując nurkować. W przezroczystej wodzie widzę jak niczym pingwin wiosłuje skrzydłami, zanurza

się coraz głębiej. Wpływa w szczelinę skalną, gdzie od czasu do czasu połyskuje jego niebieskie lustro na skrzydle. Wydaje mi się, że wyraźnie mnie obserwuje.

Czas się dłuży w nieskończoność. Postanowiłem oddalić się i obserwować rzekę zza drzewa. A kaczor dalej trwał w podwodnej toni. Już nie strzelałem do nadlatujących kaczek. Jedno ze stadek wylądowało na rzece przede mną. Było ich sześć. Baczenie mnie obserwowały. Kaczki robiły na wodzie jakieś dziwne młyńce, kółka, opryskiwały się wodą pływając nad moim kaczorem. Wnet też się zerwały do lotu.

Policzyłem je. Było teraz ich siedem. Jeszcze raz liczę. Wszystko się zgadza. Schodzę nad brzeg, kaczora w wodzie już nie było.

Ciągi kaczek ustają. Jeszcze wysoko na niebie pojawia się parę stadek, a raz nawet nade mną przelatuje samotny kaczor. Może to ten, który nurkował? Chyba przyleciał pożegnać się ze mną?



Kaczor przyleciał pożegnać się ze mną.

DLA KOGO ON SIĘ TAK STROI ?

Jasiowa Dolina była ostoją najpiękniejszych rogaczy, jakie występowały w Rudawach Janowickich. Przyczyniała się do tego obfitość wartościowej karmy, a do naturalnej selekcji słabych i chorych sztuk w dużej mierze panujący tu ostry klimat oraz liczne występowanie jastrzębi i sokoła, a także znacznej ilości krwiożerczych lisów. Częste mrozy, niespodziewanie wracające niemal każdej wiosny w Dolinę, powodowały deformację dopiero co nakładanych przez rogacze parostków. Wszystkie te czynniki powodowały, że zdobywane tu sarnie trofea były cenne, wielkie i ciekawe. Przyciągały też wielu amatorów unikalnych okazów oraz myśliwych dewizowych.

Leśniczy opowiadał mi, że pod jego ambonę przychodzi rogacz, który ma zasłonięte oko przez jeden badył. Ponieważ źle widzi, wychodzi na żer zupełnie po ciemku, kiedy trudno jego ocenić nawet w nocnej lornetce.

– Ja na rogacza nie biorę odstrzału – dodał – możesz sobie go obejrzeć.

Było bardzo ciepło.

– Idzie burza – zauważył leśnik. – Dziś już z zasiadki nic nie będzie! Jeżeli tylko możesz to wybierz się wcześniej rano, ale zaczęły się sianokosy i łączka pod amboną będzie koszona. Musisz parę dni zaczekać.

Prawie po tygodniu od naszej rozmowy wszedłem w stary świerkowy bór, zaścielony płataniną kolczastych jeżyn, porośnięty kępami świerczyny i młodych dąbczaków. Ciągle przyspieszałem, aby zdążyć jeszcze przed świtem zasiąść na ambonie Mietka, ustawionej na skraju łąki. Wiedziałem, że obok na pole wychodzą dwa rogacze – jeden silny krzyżak z bardzo wy-

sokimi różkami, a drugi to ten selekcyjny, ze złamanym parostkiem zasłaniającym oko. Rogacz ten był bardzo ostrożny, bo dotąd nikomu nie pozwolił podejść do siebie, choć marzyło o nim wielu selekjonerów. Wychodził późno o zmroku i wracał przed świtem do swoich dziennych leży.

W lesie oświetlałem sobie drogę latarką. Zbudzony światłem puszczyk nerwowo rozhukał się wśród drzew, wprowadzając nastrój niepokoju w łowisku. Taki głośny sygnał tej wścibskiej sowy mógł być ostrzeżeniem dla ostrożnego rogacza.

Nie musiałem długo czekać na kilkakrotne szczeknięcie kozła. Pochodziło jednak z krańca dość odległej łąki. Potem nastąpiła zupełna cisza. Staralem się wychwycić choćby najmniejszy szmer, ale nic takiego nie miało miejsca. Zewsząd otaczała mnie czarna noc, a w niej nawet słyszałem bicie własnego serca.

Jest dobrze! Jeszcze ostrożniej podszedłem do drabiny i starałem się w czasie wspinania na nią ani razu nie stuknąć. Otworzyłem powoli drzwi i wśliznąłem się do wnętrza niczym wąż.

Zadowolony przysunąłem się do szczeliny okna i oniemiałem z wrażenia. W szklach lornetki odkryłem dużego rogacza stojącego nad strumieniem, o ceglastej sukni i z wplątanymi trawami w rogi. Zrobiło mi się gorąco, byłem pewien, że to on, o jednej chyba trzydziestocentymetrowej tyce w kształcie krzyża, okręconej zielskiem i drugiej zwisającej ku dołowi.

Kiedy wyrównałem ostrość lunety na kniejówce, rogacz nagle zniknął mi z pola widzenia. Gdyby nie lekki chłód poranka, który nagle wypełził z mrocznej kniei i owiał moją twarz, byłaby mokra od potu i niespodziewanego wrażenia.

Ku mojemu zdziwieniu na łąkę niespodziewanie przybył zając i nerwowo mruczał. Z pomocą przednich łapek zaczął czyścić swój kożuch. Dla kogo on tak się stroi, komu się chce przypodobać? Miał partnerkę – to było już jasne, choćby przez to jego mruczenie i zalotny wygląd.

Byłem tak wpatrzony w zachowanie zająca, że zapomniałem zupełnie o rogaczu. Nawet rozładowałem strzelbę, aby o niej nie myśleć, tak bardzo mnie ten szarak ujął swym niecodziennym postępowaniem. Z niecierpliwością czekałem na jego wybrankę, dla której poświęcał aż tyle czasu.



Naraz omal nie zakląłem! Ze strumyka wyskoczył jak szalony najzwyczajniejszy kaczor krzyżówki. Wprawdzie czytałem o różnych zboczeniach, ale żeby gach stroił się do kaczora? Im dłużej przyglądałem się tej scenie, nabierałem coraz większego przekonania, że szarak został wyrzucony ze swego legowiska przez zadziornego kaczora. Bronił się teraz udając ważniaka, a przy tym pomrukiwał.

Ale z niego bohater! Ma wprawdzie cały zastęp nieprzyjaciół, prześladujących go o każdej porze dnia i nocy, ale żeby takiej kaczce ulegać? To mi się w głowie nie mieściło! Tym razem zamiast przywieść rogacza będę miał piękną fotkę kaczora z zającem, ale czy nie było warto poświęcić cały ten ranek na to rzadkie widowisko?

CHRAPANIE SŁONKI

Przed nami z mokradła unosiły się białe opary – resztki nocnej mgielki i rozplywały na tle granatowego, górskiego masywu Karkonoszy, który pierścieniem otaczał staw i mokradła Wojcieszyc, Podgórzyna oraz Sosnówki.

Siedząc osłonięty w trzcinowym namiocie przypomniałem sobie, że nigdy przedtem nie byłem na wiosennych ciągach słonek. Obiecał mi kiedyś leśniczy z Maciejowej, że zabierze mnie na Podkowę, w miejsce gdzie każdej wiosny spotykano te ptaki. Tam w kilkuhektarowym bagiennym lesie każdego roku polował na te tajemnicze ptaki. Nikt poza nim z jego koła łowieckiego nie mógł się pochwalić tym rzadkim trofeum.

Po powrocie do domu postanowiłem telefonicznie przypomnieć o tej obietnicy. Jak to zwykle bywa, leśniczy znalazł trochę czasu dopiero po trzech dniach i umówił się ze mną przed lasem.

Pod wieczór chmury zaciemniły horyzont, ciepły, wilgotny powiew wiatru zwiastował mżawkę.

– Jeżeli nie będzie padać siądziemy pod brzózkami – zakomunikował leśniczy. – Kamerę możesz schować głęboko do plecaka, bo jeżeli słonki dziś będą ciągnęły, to o zupełnym mroku.

Zmęczeni ostatni odcinek drogi pokonywaliśmy skacząc po pniach zanurzonych w kałużach wody. Przed nami ciągnęła się długa, podmokła łąka otoczona olchami, które rosły przy strumyku. Z nastającym zmierzchem robiło się coraz ciszej i coraz gęściej kropelki wody pokrywały twarz. Brzydka szarość powoli wstępowała na łąkę, przed nami znikły wszystkie stworzenia – nastawał czas ciągów słonek.

Na styku dnia i nocy w ciszy, która napełniła łąkę, niepostrzeżenie rozległo się głośne chrapanie. Powtórzyło się kilkakrotnie, kiedy słonka ciągnęła nad łąką, następnie syknąwszy zginęła w ciemnej ścianie lasu. Po chwili znów chrapanie dało

się słyszeć tuż nad wierzchołkami olch. Dwa ptaki niczym na pokazie lotniczym koziółkowały zabawnie wokół siebie. Nagle jeden z nich pokazał się wyraźnie nad wierzchołkiem olchy, w pobliżu leśniczego i jakby trafił na niewidoczną przeszkodę. Zaczął bezwładnie opadać. Potem dopiero głośny huk napełnił tę ciszę, zanim druga słonka obniżyła lot chrapiąc. Świecą poszybowała w niebo.



Huk jej nie przstraszył, bo nad łąką znów rozległo się chrapanie. Na próżno próbowałem strącić jednego z goniących się ptaków. Leśniczy też spudłował bliską słonkę. Zrobiło mi się lżej na sercu, że tej też udało się ujść z życiem.

W świetle latarki oglądałem tego maleńkiego ptaka o ciemnobrązowym grzbiecie, z popielatą pręgą i zabawnie ciągnącą się smugą przez oko. Wydawało się, że ptaszek teraz nam się przyglądał. Jego czarne, duże oczy przeszywały nas bystrym wzrokiem. Zauważył to leśniczy i powiedział:

– Strzeliłem tylko dlatego, żeby wywiązać się z danej obietnicy.

WIEDZIAŁEM JUŻ, ŻE TO TOKOWIK

Gospodarz wskazał mi wykrot, a raczej jamę pod korzeniem wywróconego świerka. Możliwie jak najciszej wtłoczyłem się do jej wnętrza, usiadłem na krzeselku i okryłem szczelnie kocem. Przed sobą rozwiesiłem maskującą siatkę. Mijały długie minuty oczekiwania. Trwałem w bezruchu, najmniejsze poruszenie powodowało obsypywanie się na głowę piasku i kamieni. Robiło się coraz bardziej zimno, a gęsty płaszcz mgieł szczelnie otulał wszystko. Długo czekałem nim na wschodzie niebo zaczęło szarzeć. Nagle ze środka łąki, ze szczytu najwyższego świerka popłynęło w dół kilka melancholijnych pojedynczych fanfar. Były głośne i rozchodziły się daleko. Tony ich pobrzmiwały nastrojowo i uroczyście. Swym urzekającym śpiewem drozd zwiastował nastawanie wiosny. Przerwał go dopiero głośny łopot skrzydeł i wylądowanie w konarach dużego ptaka. Potem słychać było już tylko donośny, wojowniczy bełkot, głośne podskakiwania i czuszykanie.

Naraz wszystko ucichło. Czyżbym został odkryty? Słońce jakoś nie miało chęci pokazania się nad doliną, ale wyraźnie zrobiło się jaśniej.

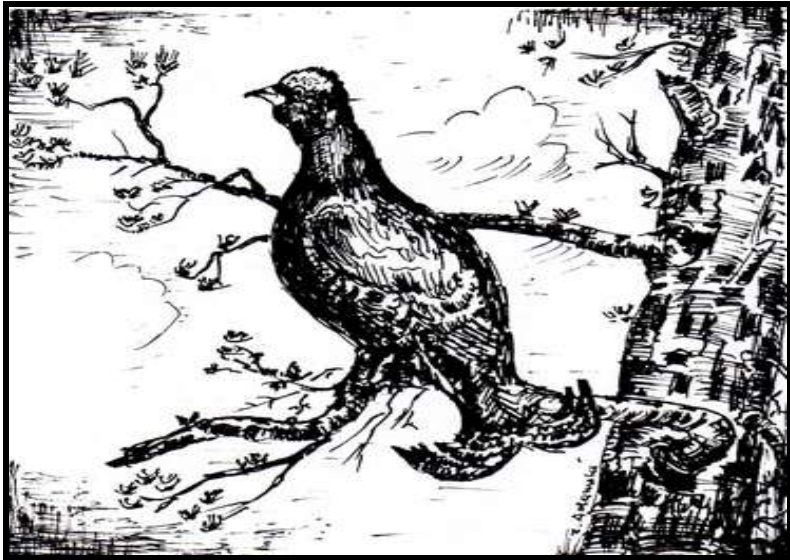
Cietrzewie po chwili rozpoczęły swe toki od nowa. Po wschodzie słońca ożywiły się i było je słychać coraz bliżej mej czatowni. Na czuszykanie samca odpowiadał inny cietrzew znajdujący się w pobliżu. Tej grze towarzyszyły bełkoty i ciągły łopot skrzydeł.

Z mego domku bezskutecznie w lornetce wypatrywałem sprawcy tych wojowniczych popisów. Jeszcze było zbyt ciemno, ale już coraz wyraźniej mogłem rozpoznawać poszczególne konary i skałki.

Naraz pod pniem powalonej brzozy odkryłem czarny, podobny do leżących tu kamieni, nieruchomy punkt, a kiedy się poruszył wiedziałem już, że to tokowik. Chyba ten sam, który z łopotem skrzydeł wylądował dzisiejszego ranka.

Tymczasem kolor nieba zmienił się w fioletową szarość, a ze szczytu drzewa dalej płynęły pieśni miłosne drozda.

Pozazdrościł mu większy sąsiad, bo bełkot spod pnia płynął teraz bez przerwy – raz ciszej, a potem znów głośno. Podobne głosy dało się słyszeć z różnych miejsc zbrocza.



Tokowik w różowym świetle poranka prezentował się okazale i dostojnie. Granatowa sylwetka ptaka wyraźnie odcinała się od zieleni i żółci traw. Nastroszone pióra zdobiły białe plamy, które niczym sygnalizator w tej szarówce raz były u góry i raptem opadały.

Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem go w obiektywie, ptak był odwrócony, a wielka czarna lira wyrastała ponad śnieżnobia-

ły pióropusz. Było jeszcze zbyt ciemno, ale nim tokowik wybiegł na ścieżkę dwukrotnie aparat zarejestrował jego sylwetkę.

Teraz kogut bulgotał zawzięcie. Na tle wysuszonych traw wydawał się jeszcze bardziej bojowy. Dreptał w miejscu, po czym błyskawicznie pognął parę kroczków i podniósł wysoko łeb – czuszykał, zabawnie podskakiwał i opadał w to samo miejsce. Błyszczącym granatem, czerwienią swej głowy i bielą plam na sukni wabił kury.

Znikła już zupełnie rosa połyskująca na trawach, słońce zajrzało do wnętrza wąwozu, znów zaśpiewał drozd, a po nim „kek”, powtarzany głos kury, słychać było tuż obok.

Cieciorkę trudno było odkryć. Jej upierzenie zlewało się zupełnie ze zgniłymi barwami traw. Przy tym kura była bardzo ostrożna i podejrzliwa. Chyba usłyszała trzask migawki, bo jak rażona śrutem wpadła w wysokie trawy. Za nią bez namysłu udał się jej ulubieniec. Przed obiektywem pozostała tylko pusta łączka.

Po chwili grały już wszystkie koguty, a popisywanie się przed nimi kur wyraźnie było słychać w kilku miejscach zbrocza. Przelatywały też często nad grającymi samcami, choć o zarejestrowanie ich na kliszy było bardzo trudne.



CHCIAŁ SIĘ ZAPRZYJAŹNIĆ

Drozd obrożny występuje w Sudetach, Tatrach i Pieninach, najczęściej w lasach świerkowych w bliskości górnej granicy lasów. W Sudetach można go spotkać w Sowiej Dolinie pod Kowarskim Grzbietem i przy Wojcieszycznych Stawach. Gnieździ się też nad Wielkimi Mazurskimi Jeziorami. Gniazdo wije z korzonków i źdźbeł traw w kształcie koszyeczka. Przylatuje w marcu lub kwietniu, a odlatuje od września do listopada w zależności od warunków atmosferycznych.



Nastał już pełny dzień, zrobiło się bardzo ciepło. Zziębnięty na kość miałem już opuścić swój domek pod wykrotem, gdy jakiś czarny ptak, wielkości naszego szpaka, usiadł obok na wystającym korzeniu mej czatowni. Przybliżył się do mnie, usiłował sprawdzić, czy aby się nie pomylił. Kiedy upewnił się o mojej obecności, wyraźnie chciał się ze mną zaprzyjaźnić. Zdjąłem przy nim siatkę, przefrunął tylko ze dwa metry i dalej mi się przyglądał.

Ale byłem gapa! Teraz dopiero odkryłem jego gniazdo, a w nim partnerkę wysiadującą jajka.

Najpierw pośpiesznie zrobiłem parę zdjęć, ale kiedy samiczka zaczęła mi wyraźnie pozować do fotografii, czekałem tylko na najciekawsze jej pozycje, w których wyglądała najokazalej.

Pozostawiłem już cietrzewie i tylko zająłem się oglądaniem drożdów, które chyba od pierwszego wejrzenia zaakceptowały moją obecność, a ja je bardzo polubiłem.

Ptak siedzący na gnieździe przypominał mi wyglądem naszego kosa. Odróżniała go jednak biała, księżycowa pręga na piersi.

Wyszedłem z ukrycia na zewnątrz, zbliżyłem się jeszcze bardziej do gniazda, zrobiłem znów parę zdjęć i nie chcąc stracić zaufania samiczki usiadłem obok i słuchałem fanfar jej partnera. A on przed nami ze szczytu drzewa popisywał się swym doniosłym i urzekającym śpiewem.



ROZPOZNAŁEM TRUBADURA

Głuszcze uparcie milczały. Nagle bliskie klapnięcie coraz bardziej nabierało mocy. Pod następną skałą kogut rozpalał się i zaczynał grać coraz głośniej. Jego pieśń odbijała się od stoku i ponownie wracała do nas echem.

O podejściu do tokującego głuszcza nie mogło być mowy. Mgła spływająca ze stoku zasłoniła nam obraz. Perspektywa na fotografowanie stawała się coraz odleglejsza, ale ośmieliła ptaki, które czując się bezpiecznie zachowywały się coraz głośniej. Godową pieśń słychać było już z kilku miejsc na stoku. Naraz kogut zaczął grać tuż przy naszym schronie i było kwestią tylko czasu, kiedy ukaże się moim oczom.

Nagle wśród otaczających polankę choinek coś błysnęło czernią i granatem. Mgła powoli ustępowała i robiło się coraz jaśniej. Mocno ścisakałem w rękę nikona, gotowego do strzału. Wśród świerczyny rozpoznałem aksamitno-czarnego trubadura. Jak wąż wyciągał swój łeb z hakowatym dziobem ponad gałązki drzewek. Niczym indor rósł w upojeniu i grał swą godową pieśń. Miałem w końcu szczęście. Jego kontury wyraźnie zarysowały się na tle nikłej ścieżki. Byłem pewien, że trzask migawki aparatu go wystraszy. Stało się inaczej. Nastroszył pióra, drżał jak w ekstazie, nie reagował na hałas. Nagle jak czarna kula zaczął toczyć się w jego kierunku rywal, wydając gardłowe dźwięki.

Fotografowałem jak opętany. Zapomniałem o całym świecie. Ukazała się też kura. Stałem się świadkiem wiosennych zalotów. Raptem skończył się film, a teraz rozgrywały się najważniejsze miłosne sceny i tylko na moich oczach. Ale nie żałowałem! Miałem na pewno kilka poprawnych obrazów z ich życia.

Blask poranka wdzierał się coraz bardziej do głuszcowego matecznika. Swym światłem rozpałał płomyki na rudych piórach samiczek. Ich amant popisując się wysoko podskakiwał. Opadł parę metrów dalej i grał od nowa.

To niecodzienne widowisko na zboczu trwałoby jeszcze, gdyby nie kura, która odkryła moją szczelinę. Lęk i zaparty oddech oraz gwałtowne bicie serca zdradziły mnie.



Kura z głośnym furkotem odleciała, zbocze stało się naraz puste, jakby tu nic się nie zdarzyło. Jeszcze głośny skrzek, szorowanie po ziemi skrzydłami i drobnymi kroczkami ptaki oddaliły się od naszej skały. Nastąpiła zupełna cisza.

Pierwsze promienie słońca przedarły się przez zębaty grzbiet góry, a głuszce umilkły zupełnie. Czas było wracać!

USIADŁ CZARNY PTAK

Tego roku zima przyszła sroga. Śnieg już leżał w górach od Wszystkich Świętych, a jego pokrywa była wyjątkowo gruba. Za to wiosna wybuchła nagle. Wiatry fenowe, które szalały w marcu, wymiotły go niemal doszczętnie, a resztki stopiło kwietniowe słońce.

Na umówioną wyprawę pod Przełęcz Kowarską wybraliśmy się z początkiem maja. Było już ciepło, wiosna w górnych reglach Karkonoszy stała się faktem. Zazieleniły się zbocza, na drzewach pojawiły się nowe odrosty, nad głowami uparcie wzlatywał siwarnik, ptaszek nieco mniejszy od skowronka i siadał na szczytach drzew. Znów wzlatywał pionowo w górę i tokował, po czym gwałtownie opadał zataczając taneczne kręgi i wytrwale śpiewał.

Spod leśniczówki Jedlinki szliśmy już przeszło godzinę. Droga stale pięła się pod górę, była kręta, ale wygodna. Dopiero od potoku Malina stawała się wyboista, aż do samego schronu Budnik. Tam na szerokiej polanie mieliśmy przenocować. Była tu świetna baza wypadowa na zbocza porośnięte lasami pod Kowarskim Grzbietem. Ze schronu do granicy Parku było niedaleko, a do tokowisk głuszca droga prowadziła po warstwyce zbocza.

Krótką noc minęła szybko. Jeszcze przed świtem siedziałem ukryty w porzrzuconych na stoku skałach. Poobijany przez korzenie i wykroty, w towarzystwie górala z Bieszczad czekałem uzbrojony w aparat fotograficzny na głuszca, który nie bał się ludzi. Po lewej stronie miałem opadające zbocze porośnięte starodrzewiem, a na wprost rysowały się kontury wykrotów wśród niskich, świerkowych młodników.

Nagle nad nami powietrzem targnął jakiś wielki szum. Nad skałami przeleciało wielkie ptaszysko, które z łopotem skrzydeł

usiadło na pobliskim pniaku. Po chwili głośne telekanie nappełniło las.

Sierp księżycy stał nad zboczem, rzucał reszki martwego światła. W lornetce dobrze widziałem gracza. Czy aby dotrwa tu do świtu? Gdzieś w oddali odezwał się po cichu inny kogut.

Niebo nad Okrajem zbladło. Dotąd prawie ciche zbocze ożywało coraz bardziej. Obok na skale usiadło kilka ptaszków mniejszych od wróbli, chyba zabarwionych na czerwono. Nie bały się zupełnie i spokojnie odleciały. Sprawdziłem miejsce, w którym zapadł stary gracz. Było puste.



Zrobiło się już zupełnie jasno. Naraz przed naszą skałą na konarze drzewa usiadł czarny ptak. Zamarłem w bezruchu, gdyż to było nagłe i niespodziewane. Czułem, że mi się przyglądał. Dziwiła go chyba błyszcząca soczewka obiektywu. Raz patrzył na mnie, później się odwracał, by ponownie spojrzeć mi prosto w oczy. Nie miałem śmiałości przycisnąć spustu aparatu, a on mnie chciał rozpoznać. Góral pokazał swoją twarz. Głuszczyk nie reagował. Teraz się uspokoił i zrobiłem trzy zdjęcia. Czas podczas tego spotkania płynął szybko, film w aparacie skończył się

jeszcze szybciej. Hałas migawki go wypłoszył. Jednak jemu zawdzięczam wymarzone fotografie z karkonoskiej kniei.

Znów po lewej stronie skały tokował stary głuszec. Nastroszył pióra. Chyba dostrzegł rywala, bo wydał gardłowy okrzyk, a zupełnie nie słyszał głośnego szmeru migawki aparatu.

Blask światła wtoczył się w las i rozjaśnił swym blaskiem wszystkie zakamarki. Z nabożnym skupieniem góral pokazywał mi swego ulubieńca. Wydawało się, że głuszec jednak był rozczarowany tym spotkaniem. Wskakiwał i zeskakiwał z pniaka i za nic nie chciał się zbliżyć do nas.

W coraz jaśniejszej fali światła srebrzyły się resztki śniegu na Kowarskim Grzbiecie. W tym kierunku leciały z głośnym bełkotem niektóre ptaki. Inne znów wracały z za granicy, więc tych o podwójnym obywatelstwie było tu więcej. Przed nami las cichł coraz bardziej.

– Schodzimy – zdecydował góral.

Śliskie kamienie wymagały od nas ostrożności i uwagi. Zastanawiające było, jak myśmy się tu w nocy wdrapali! Ale na pewno warto było!



Tokujący głuszec

UJAŁ MNIE ZA SERCE

Swym przemyślnym postępowaniem ujął mnie nawet za serce, bo postanowiłem poczekać w ukryciu do chwili, kiedy zaatakuje stado gołębi. Jego myśli poznałem na wskroś i moje przewidywania miały się spełnić, a przy okazji mogłem nie myśleć o bezowocnym oczekiwaniu na dziki i przemęczeniu niedospaną nocą.



Jastrząb gołębiarz-
haft. Obraz (9x14 cm).

Kotlina nad Bobrem stała się ziemią obiecaną dla jastrzębia gołębiarza. Zamieszkiwało tu sporo dzikiego ptactwa, koła łowieckie stale wypuszczały młode bażanty, było dużo kuropatw, dzikich i domowych gołębi. Jego pracowitość była uczciwa i imponująca, szczególnie w czasie karmienia piskląt. Żywił je tylko przez siebie upolowaną zdobyczą.

Jastrząb na jakiś czas oddalił się w stronę Sokolika i nastąpiła długa cisza. Stado gołębi spokojnie napełniało swoje wola ziarnem, gdy naraz coś je poderwało. Jastrząb błyskawicznie uderzył i trafił bocznego ptaka tak, że ten koziółkując opadał ku ziemi. Teraz brawurowo gołębiarz dopadł ponownie ofiarę, chwycił ją w swoje szpony i ślizgowym lotem szybował ku ziemi.

Silnie trzymając zdobycz usiadł na pniu złamanego przez burzę świerka. Kilkakrotnie walił dziobem w łeb ofiary, jednocześnie podejrzliwie zerkając w stronę mej ambony.

Cofnąłem do wnętrza lornetkę. Zaniepokojenie ptaka rozluźniło jego uścisk szponów i szamoczący się gołąb opadł na ziemię. Drapieżnik nie darował mu tego. Zeskoczył z pnia i ostrym dziobem dobijał jeszcze ruszającą się ofiarę.

Ten widok stał się dla mnie niezbyt smaczny. Nie wiedziałem czy żałować tego nieszczęśnika, czy też podziwiać drapieżność gołębiarza. Jastrząb na moich oczach dokonywał selekcji najsłabszego ze stada gołębia.



BYŁ PEŁEN WDZIĘKU

Spokojnie wycelowałem w niego teleobiektyw i przycisnąłem automat. Seria trzasków migawki poderwała ptaka, jednak sfrunął tylko na ziemię. Teraz go miałem zaledwie na odległość strzału dubeltówki. Znowu automat minolty powtórzył serię zdjęć. Gołąb jak rażony błyskawicznie odfrunął, jakimś dziwnym korkociągiem, omijając wysokie drzewa.

Grzywacz był pełen wdzięku, zwinności i błyskawicznych zwrotów. Przyroda go wyróżniała pod każdym względem, szczególnie delikatnymi barwami i ostrością spostrzegania.

Po chwili odezwał się na drugiej stronie ścierniska przeciągłym huczącym głosem, podrywając do lotu pozostałe gołębie. Stado natychmiast wzbilo się wysoko, zrobiło kilka rund nad polem i znikło mi z oczu.

Właśnie ten pojedynczy osobnik wprowadził mnie w błąd, stąpił moją ostrożność, kiedy tak łatwo dał się sfotografować. Byłem przekonany, że zamienię kniejówkę na śrutowego boka i z łatwością strącę parę tych ptaków.

Następnego ranka złociły się już listki na brzozech rosnących nad polaną, brzęczały pszczoły i gdzieś w lesie śpiewał drozd. Był spokojny wrześniey dzień. Nad niedokoszoną pszenicą snuły się resztki wilgotnej mgiełki. To miejsce wypatrzyłem przez przypadek. Przedtem tu nigdy grzywaczy nie spotykałem. Nie byłem jednak pewien, czy ta moja czatownia jest właściwie usytuowana, choć poprzedniego dnia miałem gołębie jak na dłoni. Dziś byłem dobrze przygotowany, miałem śrutówkę z pełnymi czokami, to powinno się udać.

Grzywacze przyleciały w tym samym czasie, tylko wylądowały po drugiej stronie ścierniska. Uratował mnie jednak jastrząb gołębiarz, który natychmiast poderwał je ponownie do lotu.

Kiedy i on odleciał, przeniosłem się natychmiast na to ich lądowisko i ukryłem się w rozwartej kopce słomy. Czekałem z zapartym tchem, kiedy znieńacka nadleciała wrona i omal nie wypaliłem do przestraszonego ptaszyska. Dalej trwałem w bezruchu. Dopiero może po godzinie grzywacze wylądowały na początku rżyska, demonstracyjnie siadając na kopach słomy. Byłem wściekły! To jawna kpina, skąd one wiedziały, że tu siedziałem?



Grzywacze nad ścierniskiem

ŁOWY PANA HRABIEGO MYCIELSKIEGO

Tuż po zakończeniu II wojny światowej członkiem Wojewódzkiej Rady Łowieckiej Dolnego Śląska i zastępcą prezesa Sądu Łowieckiego w Jeleniej Górze był hrabia Stanisław Mycielski, syn przedwojennego właściciela majątku ziemskiego pod Poznaniem.

Poza znajomością prawa łowieckiego, wyróżniał się tym, że był wyjątkowym dowcipnikiem i kawalarzem. Jego ojciec znany był z przedwojennych polowań na lwy i tygrysy w Afryce, a także z również niewybrednych kawałów łowieckich. Był bardzo towarzyski, a kiedy bracia myśliwska spotykała się na tradycyjnych łowach, umiał wszystkich rozbawić.

Raz zimą, po nieudanym i wyczerpującym siły miocie, kiedy myśliwi usiedli pod dębem, hrabia opowiedział jak to do swoich dóbr jego ojciec zaprosił elitę wyśmienitych myśliwych na tradycyjne polowanie hubertowskie w dniu 3 listopada.

W zaproszeniu zaznaczono, że strzelcy mają przybyć z bronią kulową (sztucercami), bo polowanie będzie na grubego zwierza.

Znając słynącego z dowcipów hrabiego i wiedząc, że tereny, na których mieli polować są łąkami i co najwyżej są pokryte częściowo olchą – uznano to polowanie na grubego zwierza za sprytny żart. Niektórzy tyle razy u hrabiego Mycielskiego polowali i oprócz zająca, bażanta, kuropatwy czy kaczki nikt nie widział żadnej innej zwierzyny. Zaproszenie na polowanie z bronią kulową było bardzo podejrzane, więc zaproszeni nie dali się nabrać, przywieźli dwururki (dubeltówki) i naboje śrutowe na drobną zwierzynę. W obwodzie nad Wartą organizacja była sprawna, myśliwych na stanowiska rozwieziono konnymi

powozami. Rozległ się głos trąbki myśliwskiej i naganka z psami ruszyła.

Po jakimś czasie i głośnym ujadaniu psiarni, ku zdumieniu myśliwych, z olchowego młodnika wybiegła zebra, a za nią najprawdźniejszy lew. Konsternacja myśliwych na linii była ogromna. Oczywiście nikt nie strzelał, bo śrutem można było zebra czy lwa zaledwie połaskotać.

Później przy ognisku i myśliwskim bigosie wydało się, że hrabia odkupił od poznańskiego cyrku wysłużone zwierzęta rodem z Afryki i urządził dla swoich przyjaciół nieudane safari.

To jednak było przed wojną.

W 1946 roku w Górach Kaczawskich polowano na jelenie. Był piękny styczniowy, mroźny dzień, w czasie podchodu ze świerków okiść sypała za kołnierze śnieżny puch, wpadał do butów, tropy były zasypywane, zatem i szanse na otropienie zwierzyny niewielkie.



Zadecydowano, aby zapolować na przyległym polu na zająca. Warunki były świetne, ale większość myśliwych z racji polowania na grubego zwierza miała broń kulową. Hrabia Stanisław zajął wyznaczone stanowisko i w drugim miocie strzelał trzykrotnie do szaraka (zająca) i spudłował.

Kiedy polowanie zakończyło się, zagadnięty przez kolegów o wynik strzałów do zająca, odpowiedział z absolutną powagą i pewnością?

– Po pierwszym strzale do szaraka odstrzeliłem mu tylny skok, a zając dalej biegł, to ja powtórzyłem i odstrzeliłem przedni skok i tym razem dalej zając sunął, to ja przeładowałem i jeszcze raz strzeliłem w trzecią łapę, którą również odstrzeliłem, a zając dalej biegł.

Jeden ze słuchających kolegów, popisów hrabiego już nie wytrzymał i powiedział:

– Panie hrabio, jeżeli pan powie, że jeszcze raz pan strzelał i odstrzelił ostatni jego skok, a zając dalej uchodził – to ja panu, przepraszam, dam w mordę.

Na to hrabia spokojnie z powagą oświadczył:

– Dlatego też proszę pana, już więcej do tego zająca nie strzelałem.

Słuchający, wybuchnęli śmiechem. Dla sprawiedliwości dodać trzeba, że pan hrabia wracał z polowania najczęściej z kaczką, kuropatwą, a nawet bażantem, czy zającem. Miał, bowiem zasadę, że dużo strzelał, szczególnie do zwierzyny idącej na sąsiada. Mimo, że w takim wypadku był bez szans, to jednak ustrzelona zwierzyna była sporna, a rzuty monetą przesądzały, do kogo miała należeć. A w tym już pan hrabia był mistrzem niezrównanym.

Jak wiemy, w ostatnich latach na Ziemi Jeleniogórskiej bażanty i kuropatwy są rzadkością, a zając staje się powoli również tylko ozdobą. A przecież po wojnie zwierzyny drobnej było tu sporo. Czyżby do nas nie miała powrócić?



JAK LIS URATOWAŁ GĘŚ

Polskie Karkonosze leżą na trasie jesiennych przelotów ptaków na zimowiska w południowo-zachodniej Europie i nad Morzem Śródziemnym. Każdej jesieni ciągnie tędy wiele gatunków, w tym gęsi gęgawy. Nagromadzenie ptaków w czasie przelotów na Ziemi Jeleniogórskiej prawdopodobnie wynika stąd, że przeszkadza im w wędrówce 36-kilometrowy grzbiet Karkonoszy.



Gęsi lecą tu wzdłuż ich północnej krawędzi dotąd, aż na swej drodze napotykają wierzchołek Szrenicy. Wtedy kierują się w lewo, na przełęcz pod Szrenicą, której obniżenie leży na standardowym kierunku ich wędrówek. Zachęca ich dodatkowo do tego przelotu wiatr wiejący spoza przełęczy. Ptakom łatwiej nabiera się wysokości na krótkim odcinku lecąc pod wiatr.

Najintensywniejsze przeloty odbywają się bardzo wczesnym rankiem, kiedy jeszcze w kotlinach panuje głęboki mrok. Potem

stopniowo w ciągu dnia słabną, a w godzinach popołudniowych ustają prawie całkowicie.

Ptaki przygotowując się do przekroczenia tej przeszkody zapadają na krótki odpoczynek w nocy na Mokradłach Trzczańskich, nad Bobrem, na oczkach wodnych, stawach i żwirowniach.

Pod koniec listopada po dzienniku telewizyjnym zadzwonił do mnie Marcin, kolega z koła łowieckiego. Pracował na drugiej zmianie w przedsiębiorstwie eksploatacji kruszywa. Powiedział, że obok na wodzie żwirowni przed chwilą zapadło wiele gęsi.

Dzwonił z dyżurki elektryka, mówił drżącym głosem. Świst skrzydeł i gęganie trwało z dwadzieścia minut. Niesamowity rejwach z wody podniecał i paraliżował zmysły. Podnieconym głosem prosił o przyjazd wczesnym rankiem, tylko przed świtem. Potwierdziłem, że będę i tak zakończyliśmy rozmowę.

Wyszedłem na balkon. Noc była czarna, na niebie jakoś wyraźniej gwiazdki migotały, a wiaterek był ledwo wyczuwalny. Po co jeździć na gęsi do Słońska nad Wartę, czy do Mietkowa pod Wrocław, kiedy może uda się u siebie na nie zapolować?

Przygotowałem kamerę, dubeltówkę i paczkę jedyńki, lornetkę, ubranie maskujące, budzik nastawiłem na trzecią i spróbowałem zasnąć. Dawne przeżycia z polowań na gęsi nie pozwoliły jednak na sen.

Kiedy dojechałem na miejsce, Marcin już na mnie czekał. Opowiedział, że praca przebiegała spokojnie i właściwie mógł się trochę przespać, gdyby nie te gęsi!

Szliśmy obok oświetlonych kroczących transporterów i koparek, które w nocy robiły wrażenie ogromnych dinozaurów. Szybko przywykłem do ciemności. Powoli dotarliśmy nad brzeg żwirowni. Chłód i wilgoć oziębiły dotąd gorące twarze. Tutaj jeszcze wyraźniej gwiazdy migotały na czarnym niebie, powietrze było przezroczyste, a z wody, poza pluskiem nie, dochodziły żadne odgłosy.

Twarz mocno wtuliłem w lodenową kaptę i usiadłem pod krzakiem. Broń położyłem na kolanach i zamarłem w bezruchu. Marcin poszedł dalej i ukrył się w następnych łożach.

Nad wodą panowała taka cisza, że słyszałem bicie własnego serca, z wody zaś od czasu do czasu dochodziły szmery i ciche kwakanie. Było coraz zimniej, a mnie zaczęły nachodzić myśli, że tu żadnych gęsi nie ma. Marcin jednak był gwarancją, przecież siedział niedaleko.

Coraz bardziej jaśniało, wzmagał się wiaterek, zaczął z lekka marszczyć wodę. W mojej lornetce nijak nie mogłem dojrzeć gęsi. Kiedy już byłem pewien, że Marcin mnie nabrał, podszedłem do niego. Był czerwony ze wstydu, mówił, że sam się nabrał. Musisz mi uwierzyć – powiedział – choć tobie i sobie zmarnowałem całą noc.

Czułem się też nieswojo. Dopiero mogliśmy spokojnie porozmawiać przy gorącej kawie z termosu, którą drżącymi rękoma mój współtowarzysz nalał do kubka. Kawa zrobiła swoje, żyłka myśliwska znów podpowiadała, że nie wszystko stracone. Umówiliśmy się tego samego dnia na godzinę dwudziestą, też na żwirowni. Zupełnie po ciemku znów siedzieliśmy nad brzegiem wody, może o sto metrów dalej w prawo niż rano.

Już po chwili z nieba słychać było gęgot. Na próżno jednak w szklach lornetki usiłowałem wypatrzeć gęsi na iskrzącym niebie. Nagle potworny hałas, szum i świst dało się słyszeć ze żwirowni. Czyżby uruchomiono transportery? Nie – to leciały gęsi i lądowały na wodzie.

Gwałtowny plusk wody, głośny rejwach i dwa szybko następujące po sobie strzały zakłóciły ten przelot. Mocno trzymałem dubeltówkę w rękach, kiedy ciemny parasol zasłonił gwiazdy. Nie ma mowy o strzale! W górze była tylko ciemna noc z gasnącymi co chwilę gwiazdkami, zasłanianymi przez lecące ptaki. Jeszcze chwila i wszystko ucichło. Nastąpiła pełna noc.

Przyszedł Marcin, rozłożył ręce, choć był zadowolony, że gęsi przyleciały. Dla mnie ten świst, ten hałas był niesamowitym przeżyciem, choć tej nocy nie strzelałem.

Rozładowałem dubeltówkę, wsiedliśmy do wcześniej przygotowanej łódki. Marcin na dziobie wypatrywał w ciemności zestrzelonej przez siebie gęsi, ja zaś powoli, prawie bez szmeru, starałem się jednym wiosłem popychać łódź do przodu.

Zielone wskazówki zegarka pokazywały godzinę 24.00. Gęsi jednak nie było. Krążyliśmy bez efektu, choć niekiedy zrywały się stadka kaczek. Wróciliśmy w końcu na brzeg.

Gęsi zerwały się chyba dopiero po trzeciej w nocy z wielkim hałasem z przeciwnego krańca wody.

Trzeba było wracać do domu, jednak wieczorem znów byłem nad wodą. Tym razem ukryłem się dobrze na północnym, wysokim moście na dziesięć metrów brzegu. Za mną przebiegał tor kolejowy, a z boku wysoko w niebo sterczały sylwetki oszronionych świerków. Tego dnia było bardzo zimno, a tu, nad wodą, szron okrył trawy i drzewka, barwiąc je na biało i dzięki temu było jaśniej.

Strzeliłem do klucza gęsi lecących bardzo nisko. Ostatnia z gęsi głucho uderzyła o ziemię tuż przede mną. Jeszcze raz strzeliłem do nadlatującej gęsi i nastąpiła cisza, tylko za plecami słyszałem jak gęś osuwa się po oszronionym świerku, łamiąc gałązki i lądując na ziemi. Ze znalezieniem gęsi w lesie nie powinno być kłopotu, bo biały szron pokaże miejsce jej upadku. Zrobiło się już zupełnie ciemno. W świetle latarki znajduję bez trudu pierwszą gęś, po drugą mam zamiar pójść po spotkaniu z Marcinem, który strzelał czterokrotnie.

Słyszę jak od brzegu odbija łódź, to Marcin płynie po swą zdobycz. Przywozi ładnego gąsiora. Opowiadam o mojej drugiej gęsi, która spadła w lesie. Jego gęś była większa, moja ciemniejsza, cała w miękkim puchu.



Lisy licznie występują na całym Pogórzu Karkonoskim.



Borsuk pod wykrotem w Karkonoskim Parku Narodowym.



Sarny są ozdobą naszych górskich pól i lasów.

– Z poszukiwaniem drugiej wstrzymaj się do rana, tam trudno dojść, pełno gałęzi i rowów – powiedział.

Następnego dnia przeszedłem kępę drzew bez trudu i rezultatu. Szadź dalej zdobiła świerkowe gałęzie, nawet znalazłem drzewo, po którym gęś się zsunęła. Wokół pełno było małych czarnych uschłych gałązek i obsypanego igliwia. Gęsi jednak ani śladu. Po trzykrotnym przejściu kępy, już zrezygnowałem. Przecież równie dobrze mogła pójść do wody lub wystartować.

Wracalem już, kiedy usłyszałem głośny krzyk gęsi. Zelektryzowany tym głosem pobiegłem w kierunku brzegu i zobaczyłem jak moja gęś nie pozwoliła chwycić się lisowi i skoczyła do wody. W ostatniej niemal chwili strzeliłem do uciekającego lisa. Ten podniósł wysoko w górę kitę i pożegnał mnie ze wstydem. Gęś zaś schowała się w nadbrzeżnych łożach i na pewno będzie czekała na przylot swych stad podczas jesiennych przelotów w Karkonoszach.

Lis jeszcze raz mnie przechytrył i obronił gęś przed pewnym strzałem.



Lis jeszcze raz mnie przechytrył i obronił gęś przed pewnym strzałem.

RUDY PRZECHERA

Leśniczego Dziadowicza poznałem, kiedy wpisywałem do zeszytu swój pobyt w obwodzie nr 60 w Maciejowej. Starszy mężczyzna, w futrzanej lisiurce na plecach, przypominał raczej osacznika z obrazu Fałata, aniżeli urzędnika państwowego. Na podłodze kancelarii leżał duży lis, stała oparta o ławę strzelba, której lufy pomalowano czarną farbą i kilka piesków kręciło się pod nogami.

Pomyślałem, że gdyby tę scenę teraz utrwalić na obrazie, mogłaby zdobić każdy myśliwski pokój. Leśniczy poczęstował mnie jabłkiem z koszyka, który stał na drewnianym stole, a nad nim wisały wieńce jeleni i stara torba gospodarza.

Widząc moje zainteresowanie lisem powiedział, iż leży już w jego naturze, że nie daruje życia żadnemu innemu zwierzęciu, którego potrafi pokonać, a przebiegłością i chytryością swoją unieczystwia zamiary człowieka. Wyrządza szkody wśród bażantów, kuropatw, zajęcy i młodych sarenek. Jest jedynie użyteczny jako właściciel dobrej skóry w czasie zimy, która często zdobi kobiety i kozuchy myśliwych. Tu leśniczy pokazał na swoje futerko.

Myśliwi traktują lisa jako rabusia, mają do niego wielką zażyłość, a pragnienie spotkania się z nim na polowaniu jest powszechne. Jednak dzięki zdolności wietrzenia, przebiegłości i bystrości wzroku, unika on najczęściej niebezpieczeństwa. Niewielkie błędy umie wykorzystać i ująć bezkarnie spod lufy myśliwego. Mistrzem wymigania się z ciężkiego położenia jest dzik, lis bywa natomiast arcymistrzem w zmyleniu całego zastępu myśliwych i naganiaczy.

Umówiłem się z leśniczym, że następnego dnia razem zapojujemy na lisa.

Śnieżna zamieć szalała niemal przez cały dzień. Dopiero pod wieczór niebo roz pogodziło się i drobne płatki śniegu wirowały

w mroźnym, górskim powietrzu. Wśród drzew panowała głęboka cisza. Dotychczas szary, matowy śnieg, w blasku księżyca roziskrzył się milionami iskierek lodu. Obwisłe pod jego ciężarem gałęzie pochyliły się ku dołowi, tworząc nieprzebyte labirynty i ciemne tunele, miejscami tylko z podświetlonymi sklepieniami. Było coś dziwnego w tym bezruchu, w tej niezmaćonej głębokiej ciszy, w tym zimowym krajobrazie bieli i czerni.

Leśniczy Dziadowicz stał obok mnie już dłuższą chwilę, obserwując świerkowy zagajnik. Cichutko wyszeptał, że jest i podał mi swoją lornetkę. Z szelestem z młodnika wyjechał przestraszony szarak. Sadził przez śnieg, stanął, wysoko podniósł słuchy i zaraz jeszcze szybciej pognął w las.

Widocznie „rudy” nastąpił biednemu kopyrze na kostki, pomyślałem, i zaraz wypadnie z młodnika i pogoni po tropie. Szybciutko jak najciszej złamałem szesnastkę, do lufy włożyłem drugi śrut i w napięciu czekałem na rabusia.

Zamiast lisa z zagajnika wyjechał na pole sporej wielkości dzik i stanął. Prawie głośno zakląłem. Serce zaczęło mi walić jak młotem, trzęsące się ręce nie mogły trafić w kieszeni na brenekę. Dzik w końcu, słysząc podejrzany hałas, galopem pognął w las.

Leśniczy obserwował moje zachowanie. Nie powiedział ani słowa i to było dla mnie najgorsze.

Chyba już dość czekania – w końcu wyszeptał.

Ruszyliśmy krętą drogą, wzdłuż której na pniach przywiązane były kłosami ku dołowi snopy owsa – dobry przysmak dla zajęcy, które wydeptały tu place aż do samej trawy.

Leśniczy Dziadowicz to dobry gospodarz, pomyślałem. W jego lesie zawsze była zwierzyna, paśniki wypełnione lucerną, koryta owsem, buraki pastewne pociosane, a na palach poukładane głowy soli. Zwierzęta to doceniały. Było tu dużo saren, zajęcy, dzik często zaglądał, a ostatnio i lis robił tu spustoszenia, o czym świadczyły kłęby turzycy wyrwane któremuś gachowi.

Doszliliśmy do ściany wysokiego lasu. Przed nami rozciągało się duże, pofałdowane pole kryte miękkim śniegiem. Mróz szczypał w wargi, a kołnierz kożucha stawał się coraz bielszy od szronu. Tu jednak spodziewaliśmy się spotkać „rudego rabusia”, który pozostawił wcześniej świeży sznureczek odcisniętych tropów. Kierował się w stronę paśników i owsa zawieszonych na drzewach.

Mój przyjaciel wydobyl z za pazuchy drewniany wabik, wziął go do ust. Jak papierosa zasłonił dłońmi i kilka głuchych tonów – „eee-ueee-ueee” rozdarło ciszę wokół nas. Przerażliwe głośnie kniazianie zająca słabło i coraz bardziej oddalało się od nas. Znów po paru minutach powtórzone, ale już cichsze tony, błędziły wśród zaśnieżonych gałęzi drzew.

Wiedziałem, że leśniczy świetnie opanował sygnały myśliwskie, bo jego zawsze proszono do odegrania pokotu i zakończenia polowania. Jednak tym kniazianiem zająca, beznadziejnie walczącego o życie, zupełnie byłem zaskoczony. Nie wiedziałem czy lis na ten tak głośny dźwięk wabika da się nabrać.

Nabrało się duże ptaszysko. Przyfrunęło bezszelestnie jak cień i usiadło na gałęzi obok nas. Tak więc kniazianie chyba było prawidłowe, pomyślałem. Sowa przyglądała się nam uważnie bez najmniejszej obawy. Zwątpiła chyba w swój słuch i odleciała.

Leśniczy kniazianie powtórzył, jednak zupełnie cichutko i znów jak przedtem mieliśmy nad głowami znajomą sowę, a za chwilę i jej przyjaciółkę. Obie stały się natrętne. Staliśmy do siebie odwróceniem i każdy z nas obserwował inny wycinek pola, kiedy z dala od lasu popłynęło chrapliwe szczekanie. Powtórzyło się jeszcze kilkakrotnie. Na pewno pochodziło od lisa, tylko skąd takie jego zachowanie? Może na swej drodze napotkał jakąś przeszkodę, a może wiatr zdradził naszą kryjówkę? Oszczekiwanie stawało się coraz bliższe, coraz głośniejsze. Lis wyraźnie sznurował w naszym kierunku.



Sowa uszata z Rudaw Janowickich-haft. Obraz (17x21,5 cm) znajduje się w Inowrocławiu.

Silniej ścisnąłem dubeltówkę, głośno biło mi serce, z szybkością błyskawicy przebiegały myśli, czy aby w komorach jest

śrut, czy broń odbezpieczona. Wyzaczyłem wzrokiem najkorzystniejszą odległość do strzału. Odruchowo zginałem palec, który łatwo miał trafić na spust. To przecież miał być mój pierwszy lis w życiu, o którym marzyłem od dawna! Widziałem już w myślach jego ceglastobrązowe futro zakończone puszystą kitą. Wiem, że takie myśli są złowieszcze, no chyba, że św. Hubert ma cię w swojej opiece.

Dziadowicz wcześniej twierdził, że prowadząc lisa na muszce należy zawsze wzrok skupić na przednich, czarnych stawkach, nigdy zaś na wietrzniku czy ślepiach. Lis bowiem, prowadzony wzrokiem, od razu wyczuwa niebezpieczeństwo i gwałtownym skokiem w górę lub w bok w ostatniej chwili ratuje swe futerko.

Wreszcie pokazał się On. Z długim ogonem sznurował wzdłuż skarpy. Na strzał było za daleko. Przyglądaliśmy się mu z zaciekawieniem, bo i w jego zachowaniu było wiele niewiadomych. Szczekał w rytmicznych odstępach bez powodu.

Czegoś podobnego jeszcze nie słyszałem – wyszeptał leśniczy.

Mykita przyspieszył, a jego głośne zachowanie denerwowało nas coraz bardziej. Sznurował teraz prosto na mnie. Staralem się być opanowany. Powoli podnosiłem dubeltówkę do strzału, udając wewnętrzny spokój. Kiedy lis znalazł się na dwadzieścia pięć kroków, przystanął. Wiedząc o niebezpieczeństwie podskoczył. W tym czasie dosięgła go wiązka śrutu i zapadł się w miękki śnieg.

Byłem szczęśliwy. Chciało mi się śmiać, że udało mi się zdobyć pierwszego lisa. Jaka to będzie frajda, kiedy położę żonie pod nogi takie rude futerko. Byłem dla siebie bohaterem, ale leśniczy Dziadowicz ostudził mą radość. Przecież ten lis nie musiał w ogóle być trafiony – strzelany z boku i z takiej odległości. Niewiele śrucin mogło do dosięgnąć. Ale leży, to jest najważniejsze, pomyślałem.

Podszedłem, okazało się, że to liszka. Podniosłem ją, ważyła może z 7-8 kg, o rudoczerwonym futrze ze szpiczastą mordką, szerokim czole, czarnym jak smoła wietrzniku, o skośnych ślepiach i szelmowskim wyrazie chytrusa-obłudnika.

Do leśniczówki mieliśmy jeszcze z trzysta metrów. W kopnym śniegu szło się niezbyt dobrze, tym bardziej, że księżyc zasłoniła ciemna chmura. Pieski leśniczego czując, że wracamy, zaczęły głośno ujadać.

Lisa ułożyłem na murku przed kancelarią. Pogłaskałem „Mykitę”, a kiedy leśniczy zapalił światło przez moment wydało mi się, że lis miał otwarte jedno ślepie. Chyba się pomyliłem, pomyślałem. Jeszcze raz wróciłem. Mój lis leżał tak jak go położyłem. Zdjąłem buty, a leśniczy włączył elektryczny czajnik.

Było dobrze po północy. Gorąca herbata dymiła w szklankach, gdy psy jak wściekłe zaczęły ujadanie i próbowały pokonać płot. Leśniczy wreszcie włożył buty i wyszedł. Ganiąc psy krzyknął:

– Dawaj strzelbę!

Wybiegłem i ja. W resztkach światła widziałem oddalającego się lisa. Przeszedł między sztachetami ogrodzenia, gdzie jeszcze przed Wigilią sprzedawano choinki i zniknął. Dziadowicz wypuścił psy. Ruszyły jak szalone. Ich ujadanie było coraz dalsze, aż zupełnie ucichło. Byłem załamany. Teraz Dziadowicz się uśmiechnął.

To co się stało było wyraźnie wyciśnięte na świeżym śniegu, a przy latarce znalazłem tylko jedną kroplę rubinowej farby. A tak się cieszyłem z lisięgo futra, podszytego puchem, które widziałem na kożuszku mej żony!

Św. Hubert jednak nie zapomniał o mnie. Jeszcze tej zimy strzeliłem dwa lisy, ale tego u leśniczego Dziadowicza zapamiętałem na zawsze i to z jednym otwartym ślepiem.

TRWAŁA TAM WALKA

Ostrożnie otworzyłem okno. Próbowałem cokolwiek zobaczyć, ale mój trud był daremny. Pomruki i krzątanie dalej było słycać pod drabiną. Przyłożyłem ucho do mokrej belki i wyraźnie usłyszałem czochrania się o nią i jakieś nieznanne mi piski. Pewien byłem, że pod amboną było zupełnie pusto.



Mogłem to teraz sprawdzić, bo zza chmur wyszedł jasny księżyc. Później się wszystko uciszyło, na łące było jasno jak w dzień i pusto aż pod sam las. Naraz na ścieżkę przede mną wybiegły dwa duże borsuki. Były tak zajęte swoimi sprawami,

że zupełnie moja obecność ich nie interesowała. Bawiły się schwytanym dużym ptakiem. Zrozumiałem, że zamieszkują pagórek pode mną. Podkopały podpory ambony, o belkę wycierają swoje kozuchy, a to ich zachowanie przenosi się po wilgotnym drewnie do wnętrza ambony. Stąd w zupełnej ciszy ta borsucza muzyka jak w głośniku, czy słuchawce, brzmi dość zagadkowo i jest denerwująca.

Borsuki naprzeciw strumyka i łąki miały swoją spiżarnię. Wybierały ptasie gniazda, chwyciły małe zajaczki, jesienią wykradały z pól kukurydzę. Robiły to jednak w zupełnej tajemnicy i czasami swym głośnym zachowaniem wzbudzały strach. Spały całymi dniami i tylko nocą wychodziły na łowy. Ich chód do złudzenia przypominał ludzkie kroki, a przemieszczanie się tyłem w księżycowej poświacie wydawało się nienormalne i straszne. Rozmnożyły się też nadmiernie.

Po przeżyciu tak silnych wrażeń spokojnie oparłem lornetkę o parapet okna i przyglądałem się z zaciekawieniem obu borsukom.

Upłynęło jeszcze kilka minut, kiedy oba zwierzęta zatrzymały się przy nadbrzeżnej skarpie. Księżyc rzucał na nie srebrne cienie. Nagle w leśnej ciszy rozległ się głośny skowyt, pisk i szczekanie. Trwała walka obu borsuków z lisem, który im usiłował odebrać przyniesionego ptaka. Bój był zażarty. Oba siedziały na ziemi i broniły się łapami, odganiając atakującego lisa. Wrzawa była tak głośna, że ściągnęła nawet sowę, która również zaczęła atakować borsuczą zdobycz.

Kiedy o świcie zszedłem z ambony, pod skarpą znalazłem martwego borsuka. Jego portret uwieczniłem na tle pnia starego drzewa.



MYŁKUSY ŻYJĄ PARAMI

Pokaz trofeów łowieckich na wystawie Sudecka Kraina Łowów, przygotowanej z okazji 60-lecia Polskiego Związku Łowieckiego w Wałbrzychu, był zaiste wielce imponujący.

Stałem z kolegą przy stoisku, na którym prezentowano rogacze myłkusy, cieszące oczy zwiedzających tak szczególnie, że było tu najwięcej osób z zachwytem przyglądających się ekspozycji. Wielu z nich nie mogło nadziwić się parostkom par myłkusów, które tworzyły bliźniacze, lustrzane odbicia, niczym awers i rewers, dwóch osobnych rogaczy, o odwróconych tykach na zewnątrz, a u innej pary zasłaniającej jednemu lewe oko, a drugiemu prawe.

Stojąc z boku rozumiałem ten zachwyt, bo kiedyś i on mnie dotknął do głębi. Kiedy jednak za jedno z nich otrzymałem wstydlive punkty, na myłkusy patrzę już z innego dystansu, choć moje parostki były zawsze przedmiotem pożądania wielu kolegów.

O zwierciadlanych parach, które zdobiły wówczas stoisko chciałbym teraz opowiedzieć. Wcześniej jednak parę słów o myłkusach. U rogaczy nieprawidłowości w budowie poroża zdarzają się nieporównywalnie częściej niż u jeleni, a różnorodność form jest zadziwiająca. Jednak najczęściej spotykanymi formami myłkusowości parostków sarnich są jednotykowość, wielotykowość, korkociąg, wieczne spicaki, perukarze, baranie rogi itp.

Szczególne wrażenie robią wielotykowce, które najczęściej powstają w wyniku i następstwie uszkodzenia mózdzienia. Rogacze o mocnych i pięknych parostkach, trzy czy czterotykowce, jak też wielotykowe parostki, nazywamy często „gwiazdą morską”.

Upolowanie takiego myłkusa jest niesamowicie trudne, a często graniczy z przypadkiem, a nawet ze szczęściem. Od myśliwego wymaga czasu i znajomości terenu, na którym poluje.

Ja miałem to szczęście! Pod koniec kwietnia 1982 roku przejeżdżałem przez obwód nr 60 obok leśniczówki Maciejowa, gdy w biały dzień przed samochodem przebiegł mi rogacz, który nie reagował na zatrzymanie się pojazdu.

Uwagę moją zwróciła jedna tyka biegnąca przez jego oko ku dołowi, druga zaś wysoko stercząca ku górze. Zapamiętałem sobie jego portret dokładnie tym bardziej, że już za dwadzieścia dni miałem w tym obwodzie odstrzał na rogacza. Z uporem maniaka dziesięć razy wyjeżdżałem na łowisko, w różnych porach dnia, bo wówczas dość często padały deszcze, a także w różne miejsca dotąd nieodwiedzane. Obejrzałem dziesiątki rogaczy, selektów i przyszłościowych, ale mnie interesował tylko ten jeden. Niektórzy koledzy już wykonali swoje odstrzały i dziwili się, że ja nic godnego nie mogę spotkać.

Spotkałem go na skraju lasu pod sam wieczór, w jedenasty dzień penetrowania terenu. Spokojnie żerował na zboczu łąki. Przyglądałem się mu długo zanim zdecydowałem się na strzał.

Odległość była znaczna. Otwarta łąka nie pozwalała na bliższy podchód. Po strzale rogacz wpadł w las w wysokie pokrzywy. Już nawet latarka nie pomagała, zrobiło się ciemno. Tej nocy prawie nie spałem. O czwartej nad ranem 26 maja byłem już na miejscu. Rogacza znalazłem bez trudu. Tak, to ten sam, w wieku 5-6 lat. Kamień spadł mi z serca, że jednak nikt go wcześniej nie strzelił, nikt go wcześniej nie spotkał. W skupie ważył 18,5 kg.

Po wybieleniu czaszki zważyłem w swą pamięć. Przecież ja widziałem przed samochodem jego prawy bok i tyką zasłonięte prawe oko. Ten miał zasłonięte lewe. To mi nie dawało spokoju. Wybierałem się jeszcze wielokrotnie w to łowisko, pytałem kolegów, ale nikt takiego rogacza nie spotkał.

W końcu sierpnia siedząc na ambonie naprzeciwko rzepaku myślałem o dzikach, które tu robiły niemałe spustoszenie. Nawet nie zwracałem uwagi na rogacza, który żerował obok rowu,



Rogacz z lasów Kotliny Jeleniogórskiej-haft. 3 takie obrazy (17x21,5 cm) zdobią mieszkania w Jeleniej Górze.

porośniętego olchą. Ale kiedy zaczął wycierać parostki o gałąź z taką zaciętością i furją, że można było przypuszczać, że chce je wyłamać, przyjrzałem mu się baczniej i wówczas zdenerwowałem się ogromnie. Zobaczyłem mojego rogacza. Zanim zdecydowałem się na strzał, musiałem się uspokoić.

Do samochodu przyszedł łowczy koła Wojciech, który polował w pobliżu i nie mógł się nadziwić, skąd ja takiego niebezpiecznika wystraszałem. Odległość od miejsca spotkania przy samochodzie do miejsca jego pozyskania wynosiła około 2,5 km. Ten rogacz był młodszy o rok i ważył 17 kg. Parostki obu pasowały do siebie jak ulał. Jedna para była odwróconym lustrzanym odbiciem parostków drugiego. U jednego parostek skierowany był w dół, zakrywał lewe oko, a u drugiego prawe. Obaj natomiast mieli po jednym parostku normalnym okazałego szóstaka.

Inaczej przebiegło spotkanie i przygoda z parą rogaczy spod Wojcieszowa w obwodzie nr 50 u leśniczego Mietka Sadowskiego.

Po kilku deszczowych dniach, z początkiem lipca 1983 roku, wybrałem się na dziki. Obrąłem sobie tego wieczora ambonę, która stała przy grochowinach, na niewielkim, śródleśnym poltku. Dojście do niej było utrudnione zwalonymi drzewami. Rzadko tu się myśliwi wybierali ze względu na trudny i niedostępny teren.

Kiedy wszedłem na pierwszy stopień drabiny, uwagę moją zwrócił rogacz żerujący po przeciwnej stronie pola, w odległości 80 metrów. Obejrzałem go w szklach lornetki i wówczas zauważyłem w bok wysuniętą tykę na łbie. Z początku myślałem, że nosi na parostkach jakieś trawy lub gałęzie. Jednak kiedy się odwrócił byłem pewien, że ma zniekształconą lewą tykę. Rogacz był duży, ważył 19,5 kg i liczył 4-5 lat.

Teraz, nauczony ubiegłorocznym doświadczeniem, zacząłem szukać jego bliźniaka.

W kole koledzy nie mieli w swoich kolekcjach podobnych parostków. Mnie jednak ten bliźniak, w którego wierzyłem uparcie, nie dawał spokoju. Przysłowie mówi, że jak się bardzo pragnie, to marzenia się spełniają.

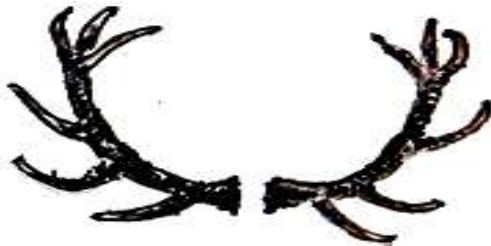
I tak, prawie pod koniec września tego samego roku, spotkałem go na granicy obwodów. W sobotni wieczór wyszedł na łąkę, mokradło otoczone ze wszystkich stron lasem, oddalone o 3 km od tamtego rogacza. Ten był o wiele mniejszy, o jasnej sukni, ważył zaledwie 16,5 kg i liczył około 4 lat.

Tak więc moja kolekcja wzbogaciła się i o tę ciekawą parę spod Wojcieszowa.

Następnego roku pozyskałem rogacza z wklęsłymi, zrosniętymi pośrodku parostkami. Bliźniaka szukałem bezskutecznie do końca września. Ale jestem przekonany i mocno wierzę, że gdzieś tam on chodzi wśród niedostępnych mokradeł i tylko czeka na spotkanie ze mną.

Ta para parostków spod Wojcieszowa była jeszcze ciekawsza. Od moźdzeni obu rogaczy odbijały w bok poziomo parostki o kilku tykach, czarnych, pięknie uperlonych. Po odwrotnej stronie zaś ku górze sterczały wygięte kolczaste haki, ostro zakończone. Jeden z myśliwych nazwał je „gwiazdami morza”.

Obie pary parostków rogaczy brały udział w wystawie w Wałbrzychu.



NIEBEZPIECZNA PRZYGODA NA AMBONIE

Ambony stanowią dziś nieodłączny element dolnośląskiego krajobrazu. Widzimy je z okien pociągu i samochodu, spotykamy w czasie turystycznych wycieczek czy grzybobrania.

Zwierzyna łowna jednak obdarzona jest świetnym węchem i słuchem, a niekiedy wzrokiem. Myśliwi wiedzą jednak o tym, że nie wyczuwa ona bliskości człowieka znajdującego się na wysokości kilku metrów nad powierzchnią ziemi. Stąd zaczęto budować nadziemne stanowiska, zwane amboną lub czatownią. Najczęściej powstają one w konarach drzew lub na osobnych rusztowaniach, które ukrywają obserwatora przyrody przed zwietrzeniem przez zwierzynę, a równocześnie rozszerzają jego pole widzenia. Uniezależniają także od niekorzystnego wiatru oraz stwarzają dobre warunki obserwacji i polowania.

Dla młodych miłośników przyrody i myśliwych obserwacja zwierzyny jest świetną szkołą praktyczną, pierwszą lekcją. Doświadczonym nemrodom pomaga prowadzić gospodarkę w ramach zabiegów hodowlanych, usuwać z dzierżawionych obwodów sztuki niepożądane.

Ambony i punkty obserwacyjne są ustawione nad śródleśnymi łąkami, poletkami łowieckimi (tylko do obserwacji), uprawami i zrębami, na skrajach lasów, nad polami, gdzie zwierzyna ciągnie na żer, opodal kąpielisk dzików i jeleni i na miejscach rykowisk.

W miejscach, gdzie budowane są ambony, zwierzyna, zwłaszcza sztuki stare, wykazuje się szczególnie silnym instynktem samozachowawczym, który uwrażliwia na wszelkie zmiany i powoduje jej niepokój. Pozostaje bowiem specyficzny zapach

człowieka, miejsce dewastacji środowiska, świecące okorowane drabiny i podpory, eteryczna woń ściętych gałęzi. Zwierzyna będzie takich miejsc unikać przez kilka dni, nawet tygodni.

Z tych powodów ambony i czatownie stawiane są wiosną, kiedy zwierzęta są najmniej wrażliwe, kiedy dłużej żerują, aby nadrobić skutki zimowego głodu. Myśliwi winni pamiętać, że ambony, czatownie, ścieżki podchodowe winny być budowane tak, aby zwierzyna miała zapewniony spokój, aby jak najmniej odczuwała obecność człowieka.



Ta ambona stała na skraju lasu, obok szlaku turystycznego, naprzeciw wielkiego zrębu, w tzw. otulinie Karkonoskiego Parku Narodowego. Była solidnie zbudowana, na szeroko rozstawionych słupach, aby oprzeć się fenowym – silnym wiatrom szalejącym tu pod koniec każdej zimy. Pokryto ją czarnym dachem, z panoramicznymi oknami obserwacyjnymi, wewnątrz wyścielono starymi chodnikami. Na dwóch ławach można było nie tylko odpoczywać, ale i wygodnie spać.

Budowniczo wie czatowni przewidzieli, że będzie ona służyć myśliwym i turystom przechodzącym obok szlaku, a których może zastać noc, czy burza. Dla nich właśnie wewnątrz widniała tabliczka i prośba o zachowanie czystości, zamykanie drzwi, nie palenie papierosów itp.

Była tylko jedna trudność, i to dość znacząca, która ograniczała do niej dostęp. Dla tego kto umiał ją pokonać, stawała się wygodnym schronieniem, szczelnie osłoniętym, przytulnym, zawieszonym pomiędzy nocnymi gwiazdkami, a stromo w dół spadającym zboczem zrębu, kończącym się daleko niebieską mgiełką. Dawała też poczucie bezpieczeństwa w tym górzystym bezludziu. Tą trudnością było wejście do jej wnętrza. Składało się ono z dwóch drabin. Wyższa, zaczynająca się ponad dwa

metry nad ziemią, była solidna, zamocowana na stałe do konstrukcji ambony. Dolną zaś, która była kluczem do wejścia, ukrywano w najbliższym młodniku. Kto o tym nie wiedział, mógł tylko na ambonę popatrzeć z dołu. Zatem była ona dla wielu bezwartościowa, niedostępna i tajemnicza. Z tą przeszkodą dawali sobie radę w czasie rykowiska myśliwi i wytrwali turyści, a widok z okien wynagradzał sownicie trudy wdrapania się do jej wnętrza.

Przed kilku laty w tym rejonie Pogórza Karkonoszy otrzymałem odstrzał na byka. Wrzesień był słoneczny i ciepły, choć już w górach noce stawały się mroźne, a rankami trawy pokrywał biały szron.

Razem z Tadkiem wybraliśmy się na ową najbardziej oddaloną, tajemniczą, zagubioną na granicy parku ambonę. Był to nasz pierwszy w tym roku rekonesans myśliwski. Zamiast manlichera wziąłem „orestegora” 500 mm, obiektyw z aparatem i statywem oraz wikt na tak odległą wyprawę.

Po odnotowaniu swej obecności w leśniczówce w Jedlinkach ruszyliśmy górską ścieżką do tajemniczej ambony na jelenie gody, czyli „rykowisko”.

Gdy dotarliśmy na miejsce zmęczenie szybko minęło, a widok z okien wynagradzał wszystkie trudy. Przed nami roztaczał się wspaniały krajobraz – różowe, opadające w dół dywany porośnięte jarzębiną, wierzbowką kipszycą, purpurową naparstnicą i wysokimi trawami, wśród których pełzały czarne macki pokreconych korzeni wyrwanych przez wichury. Wszystko to w ostrym, popołudniowym słońcu było płataniną korzeni, kwiatów, kamieni i wysokich traw. Panował tam zupełny spokój, którego nic nie zakłócało.

Wszystko zaczęło się o zmroku! Do naszej czatowni zaczęło dobiegać najpierw ciche postękiwanie, a po następnych minutach usłyszeliśmy dwa pierwsze ryczące byki. Był też trzeci,

ryczący najgrubszym, basowym głosem z daleka. Skierowaliśmy lornetki w tym kierunku, ale dojrzeć cokolwiek było nie sposób.

Na chwilę na tym północnym zboczu Karkonoszy zapada cisza, robi się chłodniej, przez opadającą mgiełkę jaskrawo zaczęły świecić gwiazdki. Były tak blisko w kryształowo czystym powietrzu, że wydawało się, iż można je dotykać ręką.

Teraz dwa byki ryczały na całego, przeklinały siebie okropnie i nie tylko obrażały w swoim języku swego rywala, ale go podniecały i prowokowały do przyjscia, do zmierzenia swych sił, „do walki”. Nasz zrab trząsł się od bojowych akordów. Później ogarnęła nas drzemka.

U schyłku nocy cichutko uchyliłem okienko ambony. Niebo pojaśniało i wyraźniej widać było grzbiet Śnieżki. Wskazówki mego zegarka pokazywały pięć po piątej. Robiło się szaro, prawie widno, siny brzask błędził między wykrotami. Na krawędzi gór jak złota chorągiew rozciągała się długa wstęga. Wstawał wrześnieowy dzień.



Choć mrok odpływał w dół, w szklach lornetki widziałem już wyraźnie kontury byka, przyszłościowego dwunastaka, który odzywał się rzadko i niecierpliwie pomrukując. Z boku wyszły

łanie – jedna, druga, trzecia, był i byk zakryty wykrotem. Widzę jednak wielki czarny wieniec i białe zakończone korony.

W okienko wkładam pięćsetkę. Robię to tak cicho, że sam nie słyszę ustawianego statywu. Łanie jednak podnoszą łby i wietrzą. Jeszcze chwila i cała chmara zniknęła ze zrębu.

Byłem zażenowany. Mierzę czas i już wiem, że światło jest za słabe do zdjęć. Obiektyw zostawiam w szczelinie. Pijemy herbatę, nic nie mówimy. Jak to się mogło stać? Jakiś przypadkowy szelest? Spoglądamy przez okno i oczom nie wierzymy. Cała chmara jeleni żeruje na granicy cienia rzucanego przez grzbiec góry, a wśród niej mój byk dwunastak.

Odkładałam lornetkę, robię na oślep pierwsze zdjęcia, jelenie nie reagują. Teraz już mam czas, mierzę dokładnie każdą ekspozycję i robię dziesięć, dwadzieścia klatek. Wystarczy!

Czekamy. Łanie kładą się i wstają, byk chodzi w kółeczko, pilnuje haremu. Kiedy podszedł bliżej do jednej z łań, ku naszemu zdziwieniu z wykrotu wyskoczył olbrzymi byk szesnastak, zaryczał basowym głosem i ruszył w stronę rywala.

Ten jednak zniknął natychmiast.

Scena ta była tak frapująca, że zapomniałem o fotografowaniu. Teraz naświetlałem następne klatki filmu ze zdenerwowanym bykiem, któremu spokój zakłócił taki chłystek. Czym tamten mógł tym łaniom imponować? Podenerwowany byk stał jak posąg, dumny i okazały.

Scena ta trwała dość długo, chmara dalej żerowała w cieniu zbocza. Tadek zaproponował, że zejdzie z ambony po cichu i złamie gałązkę. Wówczas jelenie przebiegną przez oświetloną słońcem część zrębu.

–Będiesz mógł zrobić wtedy zdjęcie swego życia! –powiedział.

–Zgodziłem się na tą propozycję.

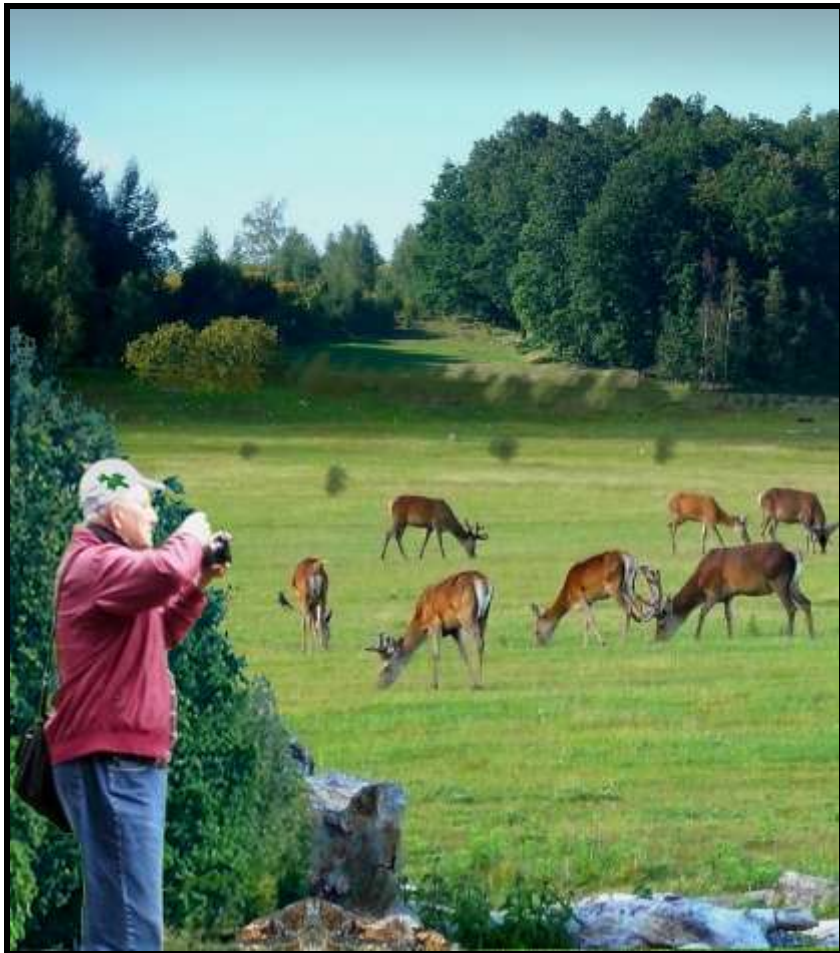
Tadek zszedł po cichu w dół, tylko zamiast złamać gałązkę uderzył kijem o podporę ambony. To co się wówczas stało, mo-

gło skończyć się wielkim nieszczęściem. Byk z całym impetem i siłą mięśni ruszył w stronę naszej ambony, węsząc rywala. Usłyszałem hałas na drabinie, wpadającego byka pomiędzy podpory ambony i przeraźliwy okrzyk mego druha:

– Ratunku!!!

Efektom tego zdarzenia jest parę udanych zdjęć z tego rykowiska w Karkonoszach, a fotografia pędzącego byka brała udział w konkursie fotograficznym i była kilkakrotnie reprodukowana w „Łowcu Polskim”.





Najwspanialszymi dzikimi zwierzętami w Karkonoszach są jelenie. Kiedy śniegi pokrywają wyższe partie gór, schodzą niżej i wczesnym rankiem można je spotkać na osłoniętych łąkach. Po zejściu z ambony, autor uwiecznia chmurę jeleni w swej kamerze.



SYMBOL JELENIEJ GÓRY



W KARKONOSKIM PARKU NARODOWYM



Kiedy chmury odsłoniły księżyc, ukazała się chmara jeleni.



O świcie w Rudawach Janowickich

MIAŁ CHŁOP SZCZĘŚCIE

Ponad stuletnie świerki i gęste poszycie dzikiego bzu o czerwonych i czarnych owocach zasłaniały wnętrze lasu, skąd spodziewano się grubego odyńca, ruszonego dziś przez nagankę. Swoje duże rapcie odcisnął on w nocy w przydrożnym błocie wracając z nocnej wyprawy na kartoflisko.

Jesień w tym roku zaczęła się na Przełęczy Komarnickiej w Górach Kaczawskich późno. Dotychczas soczysta zieleń brzoź i jarzębin przybrała złotożółte barwy. Dęby swe rozłożyste korony zaczęły przeplatać na przemian to jasnym, to ciemnym brązem, a żółte modrzewie tworzyły długie wstęgi – od Barańca aż pod Skopiec, istną malarską paletę najpiękniejszych kolorów, jaką można spotkać jesienią w Górach Kaczawskich.

Uchodzące sarny z miotu słychać było na dziesiątki metrów. Przerzywały splątane maliniaki i jeżyny, niosły na linię podniecenie i niepokój. Wyraźnie zachęcająco wśród tego jesiennego pejzażu brzmiał dźwięk myśliwskiej trąbki łowczego, rozpoczynającego polowanie. Pośpiesznie zatem obstawialiśmy jeden z większych i trudniejszych miotów, ze względu na mocno pofałdowany teren, na którym gęsty bór podszyty był płataniną roślin, gdzie zwierzyna miała dobre warunki do ukrycia.

Byłem pewien, że moje stanowisko wypadnie naprzeciwko maliniaka ciągnącego się w dół po skarpie, znanego chyba wszystkim w kole, dziczego przesmyku. Stało się jednak inaczej. To pewne miejsce przypadło ósemce, ja zaś mając numer siedem stanąłem przed maliniakiem, na wysokim lesie.

Jeszcze nie zdążyłem rozstawić krzeselka, kiedy dwie sarny spokojnie przeszły drogę. Pośpiesznie wyciągnąłem moją sto osiemdziesiątkę, bardzo jasny obiektyw i wkręciłem w aparat. A nuż będzie można wykonać tu dziś to jedno z najlepszych w życiu zdjęć

myśliwskich? Kniejówkę załadowałem kulą i śrutem, oparłem o najbliższy pień i czekałem na to co przyniesie miot.

Pomiędzy drzewami, w cieniu ich koron, migwały sarnie lusterka. Słychać było ujadanie piesków. Dwa dalekie strzały, trochę przerwy i znów pojedynczy strzał.

Chyba jest sporo dzików? Lotem błyskawicy przelatują mi takie myśli, kiedy obok mego sąsiada przechodzą sarny. Nie boją się, nie uciekają, stają na drodze. Dwie z nich łapię w obiektyw. Myślę, że zdjęcie będzie poprawne i udane mimo, że się zagapiłem.

Mój sąsiad, Staszek Bejger, siedząc przed maliniakiem wydawało się, jakby zastygł w bezruchu. Nie obchodziły go przechodzące obok sarny, tylko wpatrywał się w las.

Nastąpiła chwila spokoju, rozleniwienia. Mój sąsiad to nie byle kto – dawny doświadczony leśnik, strażnik łowiecki i wędkarski, wreszcie łowczy powiatowy, jeden z bardziej wyśmienitych strzelców, jakich znam i tych szczęśliwców, którzy na rozkładzie mają wiele czarnego zwierza, człowiek prawy, u którego wielu myśliwych uczyło się sztuki łowieckiej, zamiłowania do przyrody, prawidłowej gospodarki łowieckiej, etyki i tradycji. Jego oceny i decyzje były zawsze najwłaściwsze i ostateczne. Mówił niewiele, ale słowa jego były wyważone i zadziwiały znajomością rzeczy.

W obecności Staszka nie można było popełnić błędu w sztuce myśliwskiej, bo każdy z nas starał się go naśladować i podglądać. Trudno było jednak dorównać mu w szybkości i celności strzału.

Ciche ujadanie foksteriera stawało się coraz bardziej wyraźne i bliskie, aż tu naraz gruby głos Agura, psa bardzo silnego, z niedźwiadków karelskich, gruchnął z maliniaka naprzeciwko Staszka. Padają dwa kolejne strzały. Pierwszy głuchy, drugi świszczący, donioślejszy. Teraz dopiero las dudnił od uchodzącej zwierzyny, słychać łamane gałęzie i prucie cielskami jeżyn



Odyniec w Rudawach Janowickich-haft. Obraz (17x22 cm) znajduje się w kolekcji myśliwskiej w Jeleniej Górze.

i maliniaków. Pędziła wataha dzików pod górę, w stronę linii. Widzę jak Staszek wstaje z krzeselka, przykłada do twarzy swą trójłufkę.

Padają prawie jeden po drugim dwa strzały. Na drogę wpada duży dzik i tu zostaje. Drugi uchodzi z powrotem w dół.

Jeden z dzików przerwał linię. Biegnie pod górę, za nim pasiaste warchlaki. Przyciskam spust migawki. Dzikie nie słyszą. Jeszcze następne zdjęcia – chyba będą udane!

Na linii strzały nie ustają! Psy obszczekują maliniak. Widzę jak Staszek składa się do strzału. Myślę że ma rzeczywiście szczęście. Zaraz padnie jego drugi dzik.

Ale coś się strasznego wydarzyło! Na moich oczach sąsiadowi wypadła strzelba z rąk i razem z nią osunął się na ziemię! Słychać trąbkę kończącą miot. Pozostawiam wszystko i biegnę do Staszka. Przybiega też Andrzej z sąsiedniego stanowiska.

Staszek jest blady, odpinam guziki jego bluzy. Razem próbujemy go podnieść. Ledwo otwiera oczy, dwie stróżki potu spływają z jego czoła. Szeptem usiłuje wypowiedzieć niewyraźne słowo: „gówniarz”. Niezrozumiany, rękę podnosi w stronę maliniaka.

Andrzej rozładowuje strzelbę Staszka, nadbiegają inni koledzy. Wszystko jest już jasne. Wyprowadzają z maliniaka, chłopca w czarnej kurtce, z torbą pełną opieniek. Franek było mu na imię.

Staszek już doszedł do siebie. Nie chciał z nim rozmawiać. Powiedział tylko: – Miałeś chłopie szczęście.

Chciano mu wlać, ale nie pozwolił. Poprosił łowczego o zwolnienie go z dalszego polowania i odjechał do domu. Cisnęło się wówczas pytanie, co by było, gdyby na tym stanowisku nie stał Staszek, a napalony nowicjusz. Umykający na czworakach, ubrany na czarno chłopiec, oszczekiwany przez psy nie miałby żadnych szans.

Pomimo, że tego dnia padły trzy dziki, wszyscy, tak jak Staszek, po pierwszym miocie z opuszczonymi głowami, bez słowa, zakończyli to polowanie. Franek, jak pamiętam, po kilkunastu latach kandydował w miejscowym kole łowieckim, ale nigdy myśliwym jednak nie został.

NA SCHAUBERGU WYBUCHŁ KAPUŚNIAK

Mroźny wicher pchał gęsty śnieg i mgły, które obmarzały na napotkanych przeszkodach. Zamieniały karłowate świerki w potworki o fantastycznych kształtach, a głogi i dzikie róże w śnieżnobiałe koralowce.

Przez grzbiet przełęczy tego styczniowego dnia przewalały się welony mgieł, a górski fenowy wiatr wywracał wszystko co tylko spotkał na swojej drodze i pokrywał szklistym lodem.

Właśnie takiego dnia nasze koło miało zaplanowaną zbiórkę u Patera, właściciela gospodarstwa najwyżej położonego pod przełęczą. Myśliwi to twardzi ludzie. Wprawdzie nie przybyło ich tego dnia wielu, ale ci odważniejsi, dla których żadna pogoda nie jest groźna.

Po krótkiej odprawie ruszyliśmy za łowczym koła, Wojtkiem, szlakiem trawersującym zbocze pod Maślakiem (720 m n.p.m.), aby dojść do miotu na przełęczy zwanej przez starszych myśliwych Schaubergiem, przez myśliwych polujących w latach pięćdziesiątych – Sybirem, a tych najmłodszych – Górą pod Księżycem.

Wszystkie te nazwy oddawały prawdziwy nastrój tego obwodu. Zawarty był w nich element trudności, niebezpieczeństwa, bliskości nieba i ryzyka. Tutaj ciągnęły się całe hektary tundrowych łąk, a tylko w rozpadlinach skalnych pochowały się gęste, świerkowe młodniki. Otaczały je jeżyny i maliniaki, tworząc trudno dostępny teren dla psów, a co dopiero dla naganki.

Te właśnie doły i gęste młodniki upodobały sobie najczęściej dziki, jelenie, a nawet muflony.

– Choć dwa mioty przy tej pogodzie wziąć – powiedział łowczy.

– To i tak będzie wyczyn nie lada, bo psy nie zechcą chodzić, pokaleczą łapy, a co dopiero ludzie!

Obstawianie miotu trwało dość długo. Rozpoczęcie pędzenia wyznaczono na godzinę dziesiątą, bo sygnału i tak nie byłoby słychać. Po półgodzinnym oczekiwaniu na stanowiskach każdy z nas upodobił się do otoczenia, zamieniając się w śnieżnego bałwana.

Wicher w końcu przyniósł ledwo słyszalne dwa, może trzy strzały, później nastąpiła dłuższa przerwa. Oszczękiwanie wyraźnie zaczęło zbliżać się do linii. Na grzbiet przełączy wypadł zając, niestrzelany puł po stoku w dół. Być może to była przyczyna takiego zachowania psiarni? Nie, jednak za nim, jak w nieostrym obrazie, czarne sylwetki dzików smagane śniegiem rwały tropem przechery.

Strzałów nie liczyłem, ale kanonada była spora. Od niej, od tego grzmotu, wiele pięknych koralowców zrzuciło swą biel, a i okiść gęsto posypała się ze świerków.

Aż trzy dziki pozostały na lodowej pokrywie zbocza, znacząc czerwonymi smugami celne trafienia. Ten miot był bardzo rzadko opolowywany, jednak nikt z nas nie pamiętał, aby stąd wracało się bez sukcesu. Był zatem najpewniejszym, zwłaszcza w takim dniu jak dzisiejszy, przy takiej pogodzie.

Teraz należało zejść z drogi na zbocze najeżone dołami, ukrytymi zapadlinami, skalistymi progami i płataniną korzeni, gałęzi zasłoniętych przez trawy i śnieg oraz pokonać dodatkowo znaczne wzniesienie terenu. Dlatego właśnie tutaj każdą decyzję co do oddania strzału wyważano dokładnie. Nie było obojętne czy był to lis, zając, przelatek, czy też wielki dzik lub ważący 150 kg jelen. Wyciągnięcie stąd grubego zwierza graniczyło z nie lada wyczynem. Nie było żadnych ambon czy urządzeń łowieckich. Te, które kiedyś pobudowano, wiatry fenowe połamały i porzuciły po stokach jak pudełka zapalek lub poprzygniętały konarami drzew.



Jeleń na tle zamku Bolczów-haft. Obraz (17,5x22,5 cm)

W następnym miocie padły jeszcze dwa lisy i odyniec. Było to udane polowanie, cieszyli się wszyscy.

Zmarznięci i zadowoleni stanęliśmy przy zapalonym przez Wojtka ognisku. Wyłuskana spod lodu trawa, sprasowana harcerska podpałka i kawałki oderwanej z pnia żywicy buchnęły wysokim ogniem. Ognisko znakomicie poprawiło nastrój i ochotę do opowiadania o dzisiejszych przeżyciach i sukcesach. Nawet nikt nie zauważył jak w ognisku znalazły się trzy konserwy z kapuśniakiem, wrzucone tam przez Wojtka, takie same, jakie otrzymują pracownicy zatrudnieni w lesie, a których całe palety stały w stodole u leśniczego Trojana.

Jedni suszyli spodnie, inni grzali ręce, a jeszcze inni buty. Wesoło rozmawiano i chwalono się celnymi strzałami. Tym razem nawet odstąpiono od przestrzeganych w tym kole obyczajów, bo mała butelka nalewki Julka zatoczyła krąg wokół ogniska.

W tym sielankowym nastroju nastąpił gwałtowny wybuch. Zaskoczenie było całkowite. W pierwszej chwili nasze ognisko zamieniło się w słup pary, gorącego wrzątku, popiołu i kapusty, która dosięgła niemal wszystkich. Opryskane mundury, ręce i twarze gorącym, tłustym kapuśniakiem szybko uświadomiły nam, co się stało. Pozostałe napuchnięte dwie konserwy, przypominały raczej piłki i groziły rozerwaniem.

Zapach kapuśniaku zaznaczył nas jednakowo. Nic nie pomogło wycieranie śniegiem i trawą. Tłuszcz pozostał na spodniach i kurtkach. Jedni przeklinali, inni tłumili śmiech, ale teraz do ogniska nikt nie miał odwagi podejść. Nie komentowano tego zdarzenia, choć miano pretensje do Wojtka za włożenie do ognia konserw i nie pilnowanie ich.

W tym czasie dziki już podciągnięto do stromego zbocza, przypominającego rozbieg na skoczni narciarskiej, tylko o tysiąc metrów dłuższy, po którym z łatwością, niczym sanie, pojechały

w dół. Myślę, że zatrzymały się w opłotkach gospodarskich w Podgórkach.

– Ten kto wpadł na taki pomysł, zasługuje na medal – powiedział Jurek, wcześniej zmartwionym transportem dzików.

Dołączył do nas leśniczy Dziadowicz. Długo kręcił nosem, w końcu zapytał, dlaczego wszyscy śmierdzimy spaloną kapustą. Jurek nie wytrzymał. Tym powiedzeniem rozśmieszył wszystkich. Leśniczemu jednak nie było do śmiechu.

– Ja z wami nie mam zamiaru polować. Chyba, że pójdziecie polować na zające, bo one lubią kapustę.

Pogoda dalej była pod psem. Wyznaczono dwa samochody. Miały pojechać po dziki, a był to szmat drogi, ponad dwadzieścia kilometrów.

Polowanie na Schaubergu zakończyło się okazałym wynikiem – cztery dziki i dwa lisy. A zapach kapuśniaku towarzyszył tym, którzy nie wyprali swoich mundurów, jeszcze przez wiele dni.



ROGACZ ALBINOS

Zanim zrobiło się o nim głośno przemierzał bagienne okolicie i śródleśne łąki Gór Kaczawskich. Na żer wychodził po ciemku, razem z dzikami, do swych leży wracał skoro świt. Tym dziwnym postępowaniem różnił się zasadniczo od swoich współbraci, bagiennych rogaczy. W nocy, o księżycu, jego jasna barwa zlewała się szarością i czernią i nie interesowała zupełnie myśliwych polujących na dziki. Biały rogacz o tym wiedział i tak postępując chronił swą skórę i zgięte parostki selekta przez wiele sezonów.



Wyrwany gwałtownie przez grzybiarzy ze swego leża, zniknął tak szybko jak tylko umiał, pozostawiając po sobie smugę białej mgły i przykre skojarzenia najczęściej przestraszonych osób. Niektórzy widzieli w tym zjawisku nieszczęście, inni białą damę hulającą po lesie, jeszcze inni ostrzeżenie przed odwiedzaniem tej części borów. Tej jesieni spotkania z nim

były jednak częstsze, a zalegające mgły podwajały i wyolbrzymiały jego wielkość i ludzką wyobraźnię.

– Może ci się uda go sfotografować? – powiedział Mieciu. – Ja go tam dwa dni temu spotkałem. Przebywał wśród wyschniętych łącin na kartoflisku. Wszyscy wiedzą, że jest tam moja ambona i nikt nie ma prawa tam siadać. A co do rogacza, to jest on wyjątkowo piękny, o śnieżnobiałej sukni. Dotąd nie widziałem nic podobnego w życiu! Wszyscy go oszczędzają, przypisują mu nadzwyczajną moc, a niektórzy nawet widzieli pomiędzy jego parostkami krzyż. Pamiętasz, obok przedborza chodziła łaciata sarna, ale gdzież jej tam do tego albinosa!

Zachęcony przez leśniczego odwiedziłem ambonę. Góra jej przypominała duży kosz z wikliny. Stała na skraju wysokiego lasu, za głośno szemrzącym strumykiem, naprzeciw kartofliska. Przesiedziałem na niej trzy wieczory, aż po zupełne ciemności, obserwując w dziesięciokrotnej lornetce i teleobiektywie wszystko co tam się działo.

Pole pod wieczór było oblegane przez wychodzące z lasu zające. Po nich wyszła sarna z dwojgiem kozłat. Bacznie obserwowała mnie, łapiąc wrogi zapach. Później jeszcze buszowały w uschniętych łącinach dwie czerwone plamy. Młode rogacze próbowały walczyć ze sobą. Robiły tyle hałasu, że sprowadziły na kartoflisko najpierw lisa, później wielką sowę. Nie wierzyłem już w spotkanie z białą zjawą.

Zachęcony przez leśniczego do cierpliwości jeszcze jedno popołudnie postanowiłem spędzić w tej czatowni.

Spotkanie z sarnami znów się powtórzyło, a kiedy miałem schodzić z ambony od strony lasu coś zaszeleściło i pękło parę uschniętych gałązek. Powiało chłodem i niespodziewanie przed sobą zobaczyłem jego – wspaniałego „białego rogacza” o obwisłych parostkach, jakby zaczesanych na lewą stronę. Stał tak

blisko ambony, że ułamek sekundy wahania wystarczył, aby głośno szczerkając ponownie wpadł do lasu.

W moim ręku pozostał aparat i tylko zapamiętana wirtualna jego fotografia na tle brązowym od uschniętych łąk kartofliska.



W następnym roku zupełnie przypadkowo przejeżdżałem obok leśniczówki Janusza. Nie wypadało mi nie wstąpić i nie zapytać o tegoroczne plany i zimowe sukcesy łowieckie. Leśniczego zastałem w dobrym humorze. Nim jednak się przywitaliśmy, już z daleka krzyknął:

– Jest „biała zjawa” na polu za strumykiem, dopiero co go tam spotkałem!

Rzuciłem wszystko co miałem w ręku, tylko aparat z teleobiektywem dyndał na moim ramieniu. Na pamięć pobiegłem i zdyszany, jak alpinista, pośpiesznie wdrapałem się na ambonę.

Z przerzutu, niczym rewolwerowiec, podniosłem aparat. Jedno, drugie zdjęcie i na polu pozostały tylko kłęby kurzu i biała smuga. Sprawdziłem jeszcze, ale zjawy już nie było, tylko zimny chłód poczułem na spoconym czole.

Rogacz jakże teraz był niepodobny do tamtego, z pierwszego jesienno spotkania. Była wiosna a on dopiero nakładał nowe poroże i przyodziewał się w nową suknię. Pozostał jednak w nim dawny, ognisty temperament i niespotykana ostrożność.





Fot. Paweł Adamski

Jesienią 2012 r. wchodząc po schodach do Domu Gerharta Hauptmanna w Jagniątkowie można było zauważyć w ogrodzie żerującego rogacza. Najpierw wydawało się, że jest hodowlany, ale szybko długimi skokami pobiegł do pobliskiego lasu.

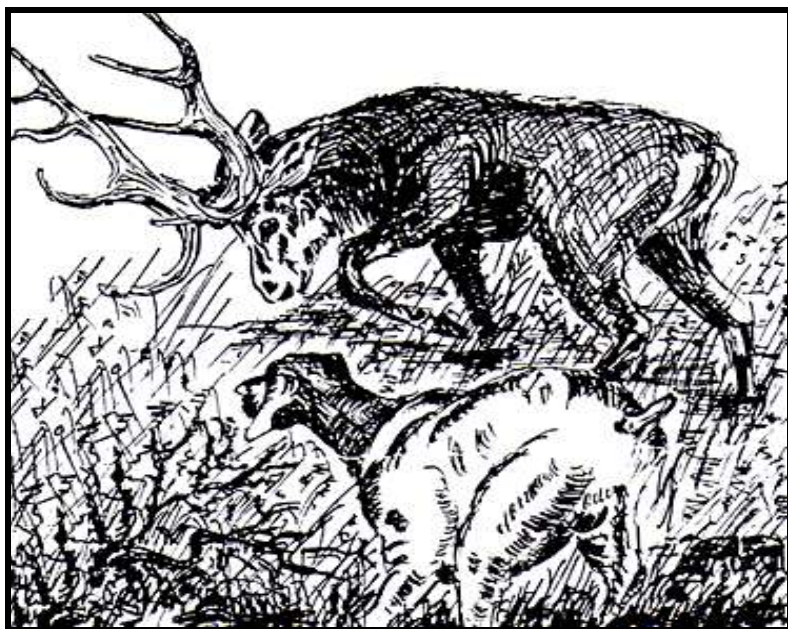


Nad Bobrem żyją kuropatwy i dzikie kaczki.



NERWOWY BYK

Za lasem już niebo różowiało, gdy znalazłem się w starej ambonie. Jeszcze na drabinie słyszałem wyraźny ryk jelenia, jednak dopiero z jej wnętrza w szklach lornetki dostrzegłem pod lasem czerwoną plamę – chmurę łań ciągnącą do swych dziennych leży.



Mgła powoli opadała. Odkrywałem coraz to rozleglejsze łączki, gdy naraz na jednej z nich triumfalnie rycząc dołączył do opuszczonych łań wielki byk. Skrycie maskowany przez cień lasu i świeże sosenki, o swej potędze zaświadczał tylko błyskiem białych grotów zdobiących kielichy oręża i basowym rykiem. Wkrótce też odkryłem drugiego jelenia, który krążył wokół chmary i próbował zbliżyć się coraz bardziej do odstają-

cych łań. Zazdrość stadnego byka była jednak ogromna. W gniewie wyzywał rywala na pojedynek.

Siedziałem spokojnie, prawie bez ruchu. Wydobyłem z plecaka swój aparat z trzysetką i centymetr po centymetrze kierowałem na nerwowo zachowującego się młodego byka. Z niewygodnej pozycji próbowałem go uchwycić w wizjerze, jednocześnie pilnując, aby nie odkryły mnie wścibskie łanie.

Jeleń szedł dość szybko, wprost na moją ambonę. Nagle się zatrzymał. Czyżby mnie odkrył? Nerwowo parskął, zaczął uderzać łbem o ziemię, przy tym nawłókł na wieńce całą wiechę traw i kory. Podniósł wysoko swój łeb, niewyraźnie beknął i trzepotał nim, śmiesznie skacząc. Zaabsorbowany tym niecodziennym zdarzeniem nawet zapomniałem przycisnąć spust aparatu. Kiedy w końcu to uczyniłem, byk jakby rażony, podskakując i z żałosnym pobekiwaniem w popłochu uchodził.

Chyba nie nadaję się na reportera bezkrwawych łowów... Moje emocje wzięły znów górę! Załedwie zrobiłem dwa zdjęcia, może jedno będzie udane – usprawiedliwiałem się przed sobą.

Spłoszony byczek wpadł w chmurę łań, co wywołało wściekłość ich opiekuna. Już w lornetce widziałem jak stadny byk podniósł łeb do góry, prawie kładąc swój wieniec na grzbiecie. Zaryczał mocnym głosem, a z jego gęby buchała biała para. Basowy, groźny głos kilkakrotnym echem odbijał się od ścian lasu. Spłoszył chmurę łań, która bezładnie biegała w tę i z powrotem.



DO DIABŁA Z JAPOŃSKĄ TECHNIKĄ

Szybko wstawał świt, a z nim wzrastał się zimny wiatr. Zmarzniętymi rękami starałem się w bezruchu utrzymać lornetkę. Nagle ukazał się w niej byk o krzaczastych wieńcach. Zaniepokojony zachowaniem się łań podniósł ociężały łeb. Najpierw wietrzył, przyglądając się bacznie mej ambonie i głośno stękał. Niespodziewanie ruszył za łańcami. Stał na piaskowym wzgórzu, wyprostował swą dojrzałą, grzywiastą sylwetkę. Z jego gęby buchnęła para, a potem doniosły ryk przewalili się po piaskach, aż po krańce tej pustyni.

Mając taki wspaniały widok nawet nie przyszło mi do głowy, aby bawić się w selekcyjona, tym bardziej kiedy zobaczyłem następnego rywala, biegnącego na piaskową górę.

Teraz też dopiero przypomniałem sobie o mojej trzasetce. Zrzuciłem nakrycie z obiektywu, wizjer przysunąłem do oka, a w nim był obraz starcia obu byków. Na piaskowym wzgórzu działy się rzeczy chwytające myśliwego za gardło. Walczyli ze sobą dwaj mocarze borów karkonoskich, dawniej po niedźwiedziu, dziś najwięksi mieszkańcy puszczy.

W tej gorącej chwili przycisnąłem spust minolty. Niestety, na próżno! Nie zadziałała migawka. Klasyczny niewypał! Do diabła z japońską techniką! Zbyt słabe światło zablokowało migawkę! Gdybym miał w tej chwili enerdowską praktykę, to takiej tragedii nie przeżywałbym. Przecież z takim właśnie aparatem przemierzyłem wiele kanadyjskich puszczy i nigdy mnie nie zawiódł!

Walka byków trwała nadal. Czerwono-rdzawe suknie obu rywali w pierwszych promieniach wschodzącego słońca podkreślały ich zaciętość i nieustępliwość. Grzechotanie wieńców i bolesne pojękiwania wyraźnie było słychać na mej ambonie. Trwało

to ładnych parę minut. Kiedy już jaśniejsze światło odblokowało migawkę aparatu, najatrakcyjniejsza walka obu byków dawno skończyła się. Teraz zdążyłem tylko jeszcze, chyba na otarcie łez, uchwycić w obiektyw, pokonanego byka i celnie trafić. On jednak o tym nie wiedział.



Mimo niepowodzenia to było naprawdę dla mnie wielkie przeżycie i jeszcze raz potwierdzało znaną maksymę, że bezkrwawe łowy są o wiele trudniejsze od sztucerowych, bowiem najczęściej w tym jedynym, niepowtarzalnym momencie, albo słońce przykrywa chmurka, lub zdarza się niewypał. Stąd tak trudno o dobrą tego typu fotografię, ale pokonanego byka będę miał w swym albumie.



ZA PÓŹNO NA KAMERĘ

Liczyłem tylko na łut szczęścia. Jelenie schodząc w dolinę mogłyby przeciąć zbocze bliżej mnie. Chmara zachowywała się głośno, łamała gałęzie na szczycie, byki ciągle porykiwały i były niespokojne. Już dobrze po siódmej pierwsza łania w susach sunęła w dół, za nią reszta chmary. Byk



nagle zatrzymał się i bacznie mnie obserwował. Odległość znaczna, może z trzysta metrów.

Teraz stokiem przeleciał huk! Spłynął w dół, by odbić się od doliny i powrócić grzotem. To strzelał Edek. Jelenie na chwilę się zatrzymały, by znów długimi skokami opuścić zbocze całkowicie.

Za późno na kamerę, nawet na lornetkę! To stało się tak nagle i niespodziewanie, że tylko smugi wyłożonej trawy zaświadczały o ich tu obecności. Chmara znikła mi z oczu za zwałami

skał. Jeszcze tego ranka jelenie ryczały na przyległym wzniesieniu, po stronie Karkonoskiego Parku, aż trząśł się las.

Kiedy schodziłem, popielaty brzask niósł nad stokiem pęcherze mgły.

ODDECH ZATYKAŁ MI GARDŁO

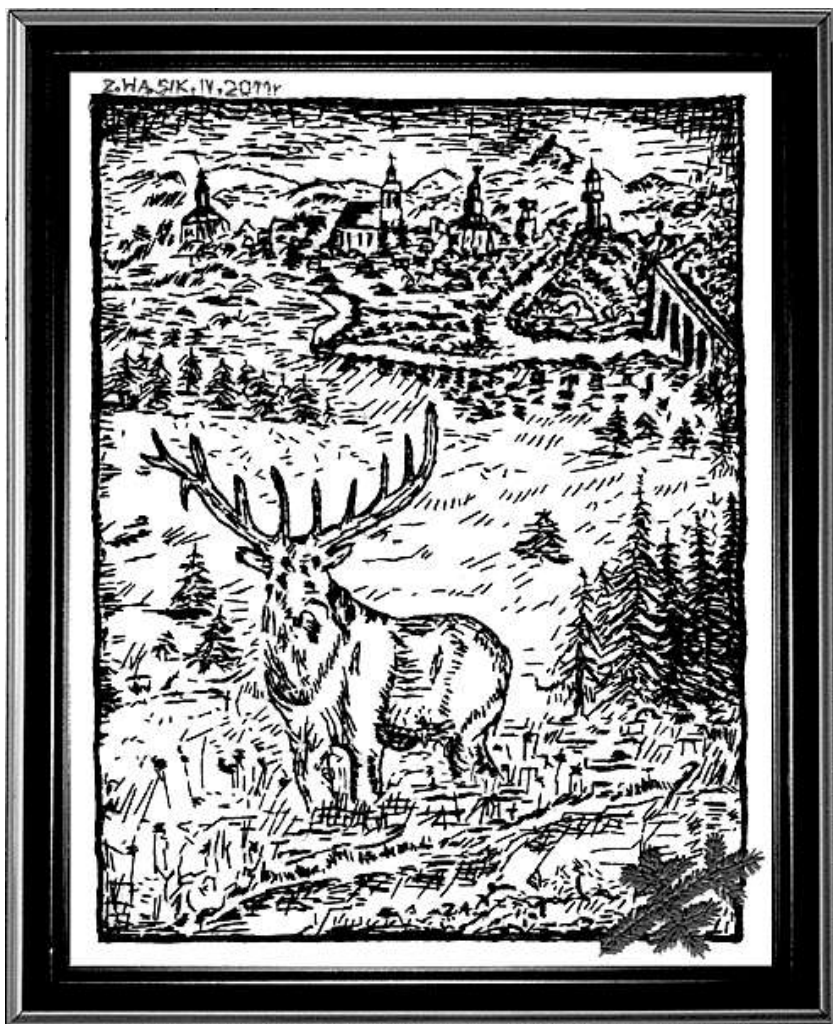
Wybór drogi przez leśniczego okazał się trafny. Wiatr miałem w twarz, wspinałem się skrajem lasu w zupełnym cieniu od poświaty księżyca. Ależ to było łatwe! Zygmunt to bardzo doświadczony leśnik. Sam na pewno bym to spotkanie z jeleniami zepsuł.

Chmarę miałem przed sobą. Żerowało tam prawie z dwadzieścia łań. Dwa młode byki biegały wokół, hałasowały i nawet ze sobą walczyły.

Szedłem stromo pod górę. Co pięć kroków stale sprawdzałem w szklach mej dziesiątki przybliżanie się do jeleni. Tymczasem góra trzęsła się od grzmotu ryków niewidocznych graczy. Przystawałem, uspakajałem tętno i oddech i znów przesuwałem się po kawałku do przodu.

Było bardzo zimno. Srebrna tarcza księżyca żeglowała nad zalesionym szczytem Urwistej w Rudawach Janowickich. Nagle blisko przede mną zaryczał jelen. Potem zaczął kaszleć i wydawać nerwowe porykiwania. Jeszcze dziesięć, dwadzieścia kroków! Jak to było łatwo pomyśleć, kiedy miało się przed sobą tak emocjonujące spotkanie! Zatrzymywałem się jednak częściej, bo podchód ten wymagał coraz większego wysiłku.

Wcześniej upatrzone miejsce było dobre. Przed sobą miałem garbate wzniesienie, na którym spokojnie skubały trawę łanie z cielakami. Do chmary należały też dwa stare byki. Ten kapitalny stał na urwistym wzniesieniu i dawał koncert swego głosu, przy tym bacznie pilnował łań. Miał doskonały widok na chmarę. Nie pozwalał się zbliżać rywalom, choć pomiędzy nimi dochodziło do ciągłych gonitw, a raz nawet do starcia. Głośny stuk wieńców niósł się daleko po lesie.



Jeleń na tle grodu Bolesława Krzywoustego-haft. Obraz (17x22 cm) znajduje się w Londynie.

Chmary pilnował pupilek Zygmunta – kapitalny osiemnastak, który był oczkiem w jego głowie. Ciągle powtarzał mi, że

podobnie silnego reproduktora nie ma w całej okolicy. Tej nocy rywalem jego był odstrzałowy dwunastak, chyba mniejszy o połowę, ale zadziorny i skory do ciągłej walki.

Naraz za plecami usłyszałem trzask gałęzi, powtarzające się szmery oraz pomrukiwania. Serce skakało w piersi, waliło jak młotem. Coś mi kazało załadować kniejówkę. Znow wrogie warknięcia! Oddech dławił i zatykał gardło. Nie wiedziałem, co robić. Odwrócony tyłem do chmary, wytrzeszczałem oczy w ciemny las i bacznie obserwowałem. Starłem się siłą woli opanować nerwy i strach. Pewno trwało to zbyt długo.

Chyba jednak odstraszę intruza od siebie? Lekko uderzyłem podpórką o kolbę strzelby. Stukot poderwał chmarę. Takiej reakcji zwierząt się nie spodziewałem!

Jak grom z jasnego nieba z czarnego lasu wyskoczył byk. Z szybkością błyskawicy znalazł się przede mną! Widocznie wziął mnie za swego rywala. Ciężko dysząc rzucał na boki łbem, przy tym rozbryzgując ślinę! Szykował się niewątpliwie do zadania mi ciosu.

Teraz każda sekunda wydała mi się wiecznością, a wściekłość i determinacja byka ciągle narastała. Kiedy ochłonałem z pierwszego wrażenia i próbowałem się wycofać, byk z furią rzucił się w moim kierunku. Trafiony, pozostał na miejscu!



NIKON ROZGRZAŁ SIĘ

Jeszcze przed godziną, kiedy opuszczałem leśniczówkę w Lipie, las obok wydawał się bajkowy, srebrzysty w słońcu szronami i śniegiem. Teraz to wzgórze, przed którym wypadło mi siedzieć parę godzin, oślepiało mnie swą bielą i zamazywało obraz. Za mną szumiał potok Lipnicy dalej stały ruiny średniowiecznej szubienicy, a przede mną była wspaniała góra otoczona Nysą Małą.



Przygotowałem kamerę oraz teleobiektyw do szybkiego strzału i zająłem wygodną pozycję na ławeczce, wysoko na drzewie.

Kiedy na zaśnieżonym stoku przez godzinę nic się nie działo, pokrywką obiektywu kilkakrotnie poskrobałem o podporę mej czatowni. Znow minęło sporo czasu. Teraz zapukałem jak

dzięcioł w belkę. Później na skarpie odkryłem w szklach lornetki poruszające się białe plamy pomiędzy drzewami. Na pewno to były muflony, jednak zginęły mi z oczu. Zacząłem już wątpić, że uda mi się wykonać jakieś ciekawe fotografie tych ostrożnych zwierząt.

Oparłem się o szczeble i snułem już plany na następny dzień. Jednocześnie lustrowałem stale zbocze. Ręka już mnie bolała od ciągłego podnoszenia lornetki. Naraz bez niej zauważyłem, że jedna ze skałek się rozdziwiła. Kiedy chwyciłem kamerę w jej obiektywie znalazł się muflon o zakręconych muszlach. Przycisnąłem kilka razy spust migawki. Tryk, jak rażony kulą wysoko podskoczył i pędził co sił do następnej skały. Tam dołączyły do niego owce. Naliczyłem ich trzy. Popychane przez barana wybiegły na śnieg i rwały szybko pod górę.

Mój nikon rozgrzał się do czerwoności. Nawet nie wiem czy zdążył pomierzyć oświetlenie i odległość. Trzask migawki jeszcze bardziej wzmógł nerwowość zwierząt i kierdel tylko na moment, na sekundę zatrzymał się przed szczytem.

Zgłupiałem zupełnie. Za bardzo chciałem mieć wszystkie sceny ze zbocza. Szarpałem się z kamerą niepotrzebnie, bo już dawno film w niej się skończył. A więc tych ostatnich, chyba najcenniejszych ujęć, nie będę miał. Muflony znikły z moich oczu, chowając się za szczytem.



SZYDLARZ

Leśniczówka Mietka Sadowskiego w Wojcieszowie była chętnie odwiedzana przez myśliwych. Znajdowała się w niej książka ewidencji realizowanych tu odstrzałów, a leśnik udzielał cennych rad na temat skuteczności ich wykonania. Jednak wielu zapamiętało ją dzięki zamieszkującym obok niej dzikim zwierzętom, którym udzielono azylu. Najczęściej najpierw przypadkowo trafiały one do rąk ludzkich, a potem pod opiekę leśniczego. Tutaj nabierały sił i powracały do zdrowia, by ponownie znaleźć się w lesie.

Żona leśniczego, miała pełne ręce roboty, bo trzeba było wykarmić często dość znaczny, dodatkowy inwentarz.

Leśniczówkę pobudowano na pagórku i wkomponowano w skalisty pejzaż, dlatego zwierzyna miała tu prawie naturalne wybiegi i czuła się jak u siebie w domu.

Wokół porastały lasy mieszane z bogatym podszyciem, któremu sprzyjało nie tylko wapienne podłoże i czysta woda, ale i cieplejszy i klimat. Wraz ze wzrostem wysokości, okres wegetacji roślin był krótszy o miesiąc niż gdzie indziej w Sudetach.

W obniżeniach terenu, pomiędzy górkami grzbietami, rosły niezliczone ilości ziół, kwiatów i paproci. Swoim bujnym listowiem osłaniały wnęki i wapienne jaskinie, gdzie dzika zwierzyna stworzyła sobie dogodne warunki do bytowania.

Obwód ten, którym opiekował się leśniczy, stał się bardzo atrakcyjnym dla zdobycia rzadkich trofeów myśliwskich. Kiedy i ja otrzymałem odstrzał na rogacza w tym rejonie, nie ukrywałem zadowolenia. Wzniesienia wapienne, gdzie kiedyś żyły niedźwiedzie jaskiniowe, teraz stały przede mną otworem.



Od samego ranka burza wisiała w powietrzu. Czulo się ją ze wszystkich stron. Tę lipcową noc przespałem w stercie siana, by skoro świt zasiąść na Mietka ambonie, stojącej na skraju dość stromego zbocza. Wczorajszego wieczora łąka była pusta, a przyległe chaszczce jakby wymarłe. Dziś gęsta, wilgotna wata przykrywała wszystko, a grzmoty nadchodzącej nawałnicy były coraz bliżej. Wybór był tylko jeden – zdążyć przed deszczem pod dach. Na pamięć dobiegłem do ambony, dość odważnie wdrapałem się do jej wnętrza, poganiany wielkimi kroplami deszczu. Po chwili już gęstym dudnieniem kropli rozdzwonił się dach nade mną.

Ulewa wybuchła z szaloną siłą, woda wdzierała się do wnętrza. Takie nawałnice występują tylko w górach i nad morzem. Przyciskałem do ścian luźne, mokre, naderwane deski, kiedy wraz z oślepiającą błyskawicą strzelił piorun w rozłożystego buka obok ambony. Zamarłem z wrażenia. Odruchowo wepchnąłem się w najsuchszy kąt i tak przetrwałem resztę ulewy. Tymczasem grzmoty przeniosły się na drugi grzbiet i całą siłą wyładowywały swą energię. Krótka, jakby wiosenna burza, przeszła szybko i niespodziewanie. Mokra od deszczu łąka, wrzynająca się w czarną ścianę lasu, nabrała wyrazistości, a gwałtowne powiewy wiatru wypędziły z niej resztki wilgoci.

Już od kilku lat uganiałem się po górach za kapitalnym rogačem na okładkę do „Łowca Polskiego”, wciąż bez najmniejszego powodzenia. Czyżbym i w tym obwodzie nie spotkał nic godnego uwagi?

Po prawie godzinie obserwacji, jakby spod samej ambony na łąkę wyszła sarna. Długo się wahała, ale nie wyczuwając niebezpieczeństwa podążyła na zbocze.

Nagle parę metrów od miejsca mej zasiadki ujrzałem rogaacza o szydłowatych, świecących białością parostkach. Jednak dostał wiatr ode mnie, zawrócił i w wysokich susach wybiegł na

grzbiet łąki. O strzale nie było mowy, bo za nim ciągnęła się dolina i gospodarskie zabudowania. Chyba wiedział o tym rogacz, bo ten grzbiet wielokrotnie ratował mu skórę.

Długo jednak nie czekał. Ruszył galopem pod las, gdzie spokojnie inny objadał świeże listki brzoźki. Młody widłaczek, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, naraz stanął przed groźnym rywalem do śmiertelnej walki. Tylko młodość i spryt uratowały go od potężnego ciosu w brzuch. Po chwili rozgorzała walka o ten skrawek łąki. Zachowanie obu rogaczy zwróciło uwagę żerujących wokół saren, które walce wytrwale kibicowały. Naliczyłem ich chyba z siedem i parę młodych koźląt.

Znów zaczęły się przepychania upartych rogaczy. Ustępował raz jeden, raz drugi. Obaj mieli jednak tylko niegroźne okaleczenia skóry. Naraz widłaczek po niespodziewanym ciosie rywala upadł na kolana i pojedynek ten na pewno skończyłby się dla niego śmiertelnie. Szydłarz szykował się do zadania młodzieńcowi decydującego ciosu, jednak kiedy usłyszał dźwięk mego aparatu, pozostawił swą ofiarę i w popłochu skoczył na szczyt naprzeciw gospodarskich zabudowań.

Młody rogacz powoli podniósł się z trawy i długo nie wierzył w to, że jego groźny rywal od niego uciekł. Z początku boleśnie chwiejąc się nabierał sił, a potem nurkując susami wpadł w las. Sarny też wróciły do lasu.

Nastąpiła długa cisza i ogromna moja radość ze zdobyczy trofeum i przeżytej przygody.



RADOŚĆ BYŁA WIELKA

Szutrową drogą, wśród niewielkich lasków, jechałem z Maciejowej do Chałup, a stamtąd pod Przełęcz Radomierską. Krajobraz był pagórkowaty i lesisty, a barwami jesieni przyozdobione lasy radowały wzrok. Ich czerwień kończyła się daleko, bo aż pod skalnym grzbietem Karkonoszy. Ranek wstawał cichy, jesienny, zza gór sączyły się dopiero pierwsze promienie słońca.

Zgodnie z radami kolegi pozostawiłem auto przy pierwszym potoku i pieszo udałem się nad drugi, który dość gwałtownie spływał z gór. Obok niego biegła leśna droga. Kończyła się na pustym polu. Po obu stronach obsadzona była lasem z brzoźek pomieszanych ze świerkami, a gęste poszycie utrudniało wgląd do jego wnętrza.

Niepotrzebnie wcześniej szukałem dziczej ścieżki. W ten sposób przegapiłem dwa przelatki, które błyskawicznie przeskoczyły przede mną drogę. Od razu przed sobą się usprawiedliwiałem, że i tak bym nie zdążył zrobić zdjęcia, bo stało się to tak nagle i bezszelestnie, że nie mogło zwrócić mojej uwagi.

Czekałem spokojnie na następną okazję. Oczy już zmęczylem ciągłym wpatrywaniem się w las. Stawałem się zmęczony tym nieruchomym staniem, jak szeryf ze strzelbą gotową do strzału. Następną godzinę już przesiedziałem na trójnogu, a przede mną nadal nie było żywej duszy. Wprawdzie słyszałem parę wystrzałów daleko w miocie, ale tu panowała usypiająca cisza.

Kiedy straciłem już nadzieję na dziką, daleko na drodze pokazał się lis, który spokojnie baraszkował za myszami. Szybko ustawiłem naprzeciw siebie kamerę, a elektroniczny samowyzwalacz wcisnąłem pod but. Wierzyłem, że lis mnie nie zauważy i przejdzie obok, a wówczas uruchomię migawkę aparatu. Zrobię fotografię, jakiej jeszcze nie mam w swych zbiorach!

Czekałem dość długo. Aparat pomierzył światło. Czerwona dioda stale sygnalizowała gotowość do strzału.

Nawet byłem zadowolony z mego pomysłu. Kiedy jednak lis niespodziewanie przeskoczył drogę, a ja nawet nie zdążyłem wyzwolić migawki, byłem załamany!

Nagle gęsty świerk, stojący przy drodze, wyraźnie się zachwiał i na drogę wyjechał wielki odyniec. Zamiast strzelić go na komorę, przycisnąłem butem kontakt aparatu. Później dopiero usłyszałem huk z mej kniejówki.



Drzazgi z roztrzaskanego pnia rozprysły się obok, a dzik zdrowo poszedł z powrotem do miotu.

Jaki wstyd! Ale pudło! Z takiej bliskiej odległości nie trafić odynca? A jeżeli jeszcze moja kamera zrobiła to podobnie, to lepiej przestać w ogóle polować!

Nawet nie poszedłem sprawdzić. Roztrzaskany pień świadczył dobitnie o sprawności mojego oka. Potem jeszcze długo słyszałem chrząkającego z niezadowolenia, oddalającego się dzika.

Resztę dnia przesiedziałem na przesmyku i gdyby nie grzybiarze, chyba bym został tam do nocy.

Chciałem ten obraz, to zdarzenie, choć dla mnie przykre, zatrzymać w pamięci jak najdłużej.

Następnego dnia radość moja była wielka i niespodziewana, kiedy ujrzałem mego odyńca na świeżo wywołanej fotografii.



Sarny w Siedlęcinie. Na podstawie rysunku autora wyhaftowała dla siebie Zofia Wąsik. (Obraz 27x27 cm)

WIGILIJNY PREZENT

Noc, cudowna śnieżna noc, zwiastująca Wigilię Bożego Narodzenia, była pierwszą grudniową, która otuliła lasy i łąki w śnieżną, białą szatę.

Tego dnia do naszego koła przyjechało na polowanie o wiele mniej myśliwych niż tradycyjnie. Zresztą tak bywało każdego roku. Był to dla wielu z nich dzień rodzinny, poświęcony ubieraniu choinki, przygotowaniom do wieczery i świąt. Była jednak niewielka, choć stała grupka, która każdego roku w tym dniu brała udział w opłatkowym polowaniu. Dawniej bywały to wyprawy na szaraki, a kiedy zaczęto je ochraniać, już tradycyjnie od wielu lat opolowuje się jeden lub dwa pewne mioty na dziki. Łowczy w tym dniu zaproponował młodniki na północnym zboczu Gór Kaczawskich, zwanym Leśną Amboną.

Jeszcze z samego rana wielkie płatki śniegu powoli opadały na ziemię, tworząc grubą warstwę świeżego puchu. Dzień wstawał bezwietrzny, dostojny i uroczysty. Dopiero później na niebie ukazały się pierwsze chmurki, przez które sączyły się delikatne promienie słoneczne.

Samochody ustawiliśmy przy drodze do Radzyna. Było nas niewielu, dyscyplina przykładowa. Bez szmerów i dyskusji wykonywano wszystkie polecenia łowczego. Chcieliśmy wziąć wcześniej otropione dwie świerkowe szczotki (gęste młodniki), gdzie tej nocy miał zalegać duży odyniec.

Polowanie mieliśmy zakończyć wcześniej niż zwykle, bo gdzieś około czternastej, aby potem złożyć sobie życzenia i podzielić się opłatkiem. Łowczy poprosił mnie, abym zostawił kamerę, bo nie będzie czasu na fotografowanie. Dodał, że wszystko musi odbyć się sprawnie, abyśmy mogli zdążyć do domów przed pierwszą gwiazdką.

Emocje myśliwskie rozgorzały na wieść o wielkim odyńcu w zasypanym białym puchem młodniku. Jak najszybciej ruszyliśmy na linię w kompletnej ciszy i zajęliśmy same dobre miejsca. Wiedziałem, że leśnictwo Lubiechowa słynie z obfitości czarnego zwierzka, co jeszcze bardziej podgrzewało i dodawało adrenaliny.

Ten miot gwarantował pewny sukces. Już strzały słyhać było wśród ośnieżonych choinek, gdy na linię wyjechał rudy lisiura. Chytrze jednak wywinął parę nagłych zakrętów i sprytnie nie złożył daniny swego futra, mimo huku i wysiłków strzelców.

Dochodziło południe. Niebo się rozchmurzyło, słońce stanęło nad górami i szybko topiło świeży śnieg. Nagle poczułem, że krew uderza mi do głowy! Odyniec pędzi wprost na mnie! Podnoszę kniejówkę i już mam przycisnąć spust, gdy dzik roluje jak zając. W śnieżnej kurzawie i potwornym huku ze sztucera mego sąsiada wypadł na łąkę i tam pozostał. Jeszcze przez chwilę bronił się przed psami, ale to już był jego koniec.

Moja rola się skończyła. Pomimo, że dzik szedł wprost na mnie, nie dano mi szansy na spotkanie z nim. Tak jego widokiem byłem pochłonięty, że w ostatniej chwili wyskoczył pod moje nogi lis i uszedł cały.

Las już zdążył zszarzeć, zrzucił z siebie ciężkie czapy świeżego puchu. Śnieg szybko się rozstępował, odkrywał łąki i drogi, za to dotąd wyschłe strumienie napełniły się wodą, spływającą gwałtownie w dół.

Wieść o strzelonym odyńcu rozeszła się lotem błyskawicy. Ktoś na lufach dubeltówki odegrał koniec polowania. Na polanę przyciągnięto wielkiego odyńca, chyba ponad dwieście funtów wagi. Młody szczęściarz uklęknął przed nim, a najstarszy wiekiem myśliwy wręczył mu złom i szczerze pomalował farbą jego twarz. Na czarnym jak smoła kozuchu dzika ułożono osiem kawałków opłatka, z czego jeden powędrował razem z gałązką świerka do pyska dzika.

Na pewno to wigilijne polowanie się zakończyłoby jak zwykle życzeniami, gdyby nie wydarzenia, które nastąpiły potem i przedłużyły je o następne wiele godzin!



Przy otwieraniu samochodu okazało się, że brakuje w nim pozostawionej kamery. Mój szok był zrozumiały, a koledzy postanowili mi pomóc i nie zostawić mnie z tym problemem. Szybko zdecydowano, że przy świeżych tropach na śniegu i piaskach będzie można ustalić sprawcę tej zuchwałej kradzieży. Śladów włamania nie było żadnych, poza odcisniętymi obcymi butami na śniegu. Szybko podzielono się na dwie grupy. Jedna z psami weszła na tropy w las, druga samochodami jechała w kierunku domniemanego przesuwania się sprawcy.

W lesie okazało się, że trop był zamazywany ciągnioną choinką. Jednak bez trudu odkryto, że prowadził do oddalonej o ponad kilometr wsi. Na drodze spotkały się obie grupy, bo roztopiony śnieg i płynąca wartko woda zamazały doszczętnie resztki śladów. Nie było zatem dalej co szukać!

Zdecydowaliśmy się na skontaktowanie z sołtysem. Ten przez chwilę się zastanawiał, a widząc na swoim podwórzu tylu ubranych w moro myśliwych zaprosił ich do wnętrza izby.

Znając życie wiedziałem, że kamera przepadła raz na zawsze, a w niej film ze scenami z uroczystości hubertowskich i zdjęcia jeleni zrobione z ambony. Teraz przypominałem sobie ile tam jeszcze różnych innych fragmentów przyrody mógłbym się doliczyć.

Koledzy naraz stali się jakby profesjonalistami. Zadawali zwięzłe pytania sołtysowi i oczekiwali takich samych odpowiedzi.

Gospodarz słuchał ich w skupieniu i tylko zapytał:

– Czy zamek w drzwiach samochodu wyrwano, czy też otwarto kluczem? W naszej wiosce jest dwóch takich artystów, do których ta kradzież pasuje. Pozwólcie, że pojedę do nich. Jeden



Sowa uszata z Karkonoszy-haft. Obraz (17x21cm) znajduje się w Inowrocławiu.

jest mechanikiem w znanej firmie samochodowej, a drugi nieźle sobie radzi z otwieraniem zamków i to bez kluczy.

W gospodarstwie mechanika samochodowego paliły się już lampki na choince ustawionej przed domem. Oczekiwano raczej św. Mikołaja, a nie sołtysa i myśliwych. Pozostał jeszcze ten od zamków! Kiedy i tu stanęliśmy przy płocie gospodarstwa, już z daleka było słychać płacz i lament staruszki i słowa, które wryły mi się w pamięć, że: „przy Wigilii nie wypada kraść”. Rzuciła się przed sołtysem na kolana i przepraszała nas gorąco, zalana płaczem za niegodne czyny jej wnuka Franka. Twierdziła, że odziedzyczył te praktyki po swym dziadku.

Kiedy wreszcie przyprawdzono mocno wystraszonego młodzieńca na chwiejących się nogach, poleciła mu, aby razem z sołtysem poszedł na strych i przyniósł kamerę. Sołtys wyjął ją z za belki na poddaszu, ze wskazanego przez Franka miejsca i uroczyście przyniósł, wzbudzając podziw myśliwych. Przekazanie jej odbyło się we wnętrzu izby przy nakrytym do Wigilii stole, a na nim talerzach pachnącej zupy grzybowej i rozłożonym opłatku.

To co wówczas sołtys miał do powiedzenia gospodarzom i ich wnukowi już nie słyszałem, tak bardzo cieszyłem się z odzyskanej kamery. To był w owym roku mój najwspanialszy podarunek pod choinkę, wprawdzie w obcym domu, ale prawdziwą, pachnącą górskim lasem.

Do dzisiaj noszę w pamięci ten dzień i widok mokrego ze strachu Franka oraz jego babci klęczącej przed sołtysem, błagającej o przebaczenie obok zapalanej choinki.



ODYNIEC ZE MNIE DRWIŁ

Dawno temu pomiędzy szczytami Skowron i Popielina (na północ od Maciejowej) spadł sporej wielkości meteoryt. Opowiadał mi o tym leśniczy Dziadowicz.

Przedemną ponad sto metrów bieгло wzniesienie pod górę i kończyło się obwarzankiem z ziemi i skał. Obrosnięte gęsto jeżyną i karłowatymi dębami strzegło dostępu do wnętrza. U dołu rżyska srebrzyły się w jesiennych szronach, a spłoszone zające rwały pod górę, jakby tam szukały ocalenia przed strzelbami myśliwych.

Wszyscy ten szczyt omijali – albo z lenistwa, nie chcąc męczyć się dodatkowo, albo też nie przewidywali tam spotkania ze zwierzyną. Psy, które brały udział w pędzeniu tego miotu, postępowały podobnie i omijały koronę wzniesienia.

Było to dla mnie dziwne. Z trudem wdrapałem się na górę. Z ciekawości chciałem zobaczyć wnętrze krateru. Panował tam półmrok i tylko na samym dnie połyskiwało małe lustereko, źródlanej wody, gdzie, według słów leśniczego, miał zamieszkiwać diabelski, knąbny zwierz. Opowiadał mi, że w Grabarach ludzie mówią też, że stamtąd nie wracają psy i krowy. Na tę piekielną górę nie chcą wchodzić. Ziemiaków nie sadzą, bo wszystkie byłyby wyorane przez dziki. Mówią, że zegarki się zatrzymują. Ktoś mi nawet opowiadał, że wskazówki kompasu obracają się jak by były podłączone do silnika. Myślę, że w tym kraterze musi tkwić magnetyczny meteoryt i on to chyba powoduje te zjawiska. Niektórzy nawet chcą dać wiarę, że on zmienia tor lotu pocisku, bo tu jeszcze nikt dzika nie strzelił, a przecież niemałe lasy rosną wokół. Jak sobie przypominam, pisano, że w średniowieczu mieszkał tam brunatny niedźwiedź. Ale czy to prawda? Kości tych zwierząt jednak wiele tu znaleziono.

Był jesienny, chłodny ranek. Mgły wisały nad łąkami. Od samego świtu pilnowałem ścierniska obok krateru. Nic się ciekawego nie działo, choć gryzoni wokół było pełno, bo pustułka kilkakrotnie obniżała lot i spadała za zdobyczą na ziemię.

Pomyślałem sobie, że zdziesiątkowano tu zwierzynę, a teraz usprawiedliwia się jej brak meteorem i zakłóceniami równowagi przyrody. Przecież nie tak daleko, nad potokiem Bełkotki, saren żyje ponad pięćdziesiąt, a tu ani jednej.

Niespodziewanie pociemniało. Horyzont nakryła czarna chmura, a łąki przed kraterem zatopiły mgły. Taka szarówka trwała z pół godziny. Potem wydmuchał ją wiatr. Na ściernisku ukazał mi się wielki, czarny jak smoła odyniec. Był niedaleko mego stanowiska. Wiatr miałem od niego, odstrzał w kieszeni, byłem więc spokojny o jego szable.

Powoli rozstawiłem podpórkę, wcześniej obejrzałem wszystko w lornetce. Kniejówkę stabilnie oparłem o siodełko, krzyż lunety naprowadziłem precyzyjnie na komorę i dotknąłem spustu. Potworny huk uderzył o krater i powrócił do mnie ze wzmożoną siłą. Dzik widać jego nie usłyszał i nic nie zauważył. Przesuwał się spokojnie dalej po rżysku do przodu. Zdenerwowany wprowadziłem do komory następny nabój i powtórzyłem. Pudło!

Odyniec zwyczajnie dalej ze mnie drwił!

Przecież nikt mi nie uwierzy, żeby na pięćdziesiąt metrów nie trafić w taką szafę? Nerwowo obmacałem wszystkie kieszenie i jak na złość nie znalazłem nowego pocisku. Wielka szkoda!

Ostatkiem zdrowych zmysłów chwyciłem za kamerę, szarpiąc się z plecakiem. Wreszcie była wolna! Włączyłem automat. Podświadomie czułem, że dzika dawno już na ściernisku nie ma!

Jednak był! Szedł wolno w moim kierunku, prosto w zalegające dalej mgły. Chwyciłem go w celownik. Był wielki! Przycisnąłem spust na serię trzech klatek filmu i ponowiłem zbliżenie

Naraz dzik jak rażony kulą ekspansywną rzucił się do przodu! Przebiegł obok mego stanowiska zaledwie o trzydzieści kroków i zginął we mgle!

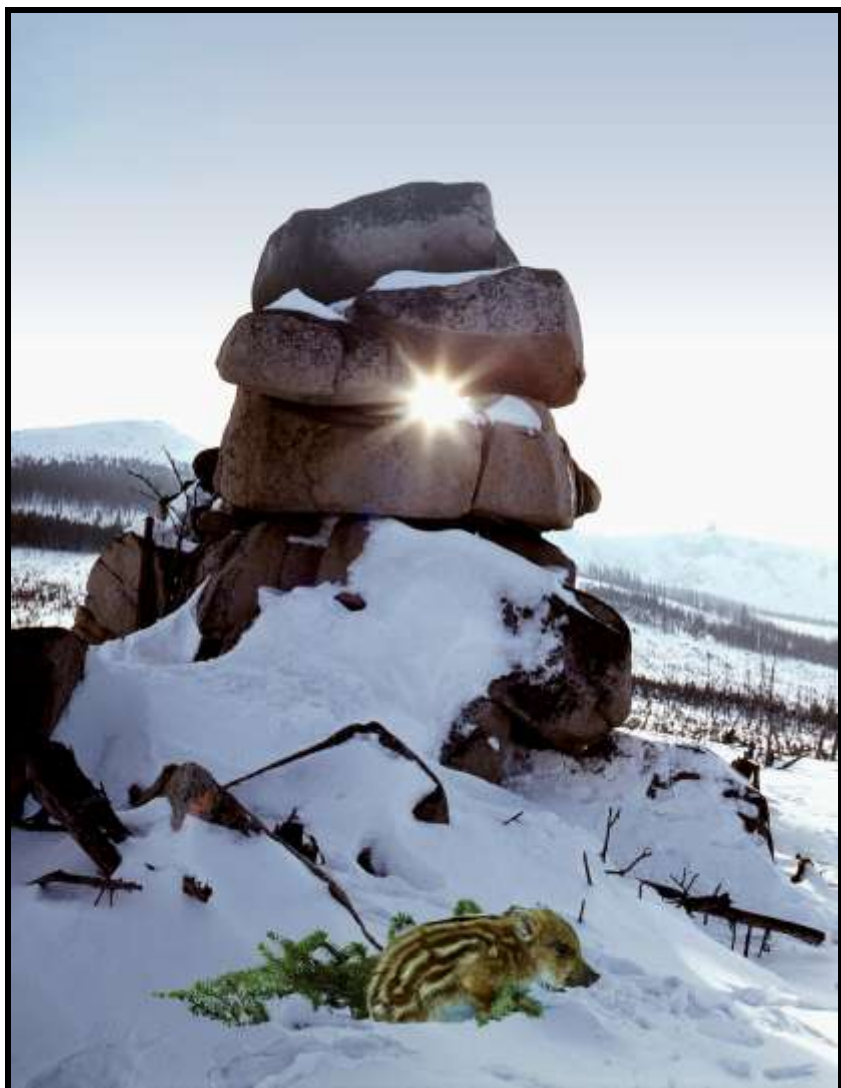


Sprawdzać czy jest farba nie musiałem, bo to okaże się dopiero po wywołaniu filmu.

Wracalem do domu właściwie zadowolony z udanego polowania. Jednak jeżeli okaże się, że to wszystko było tylko halucynacją, to wstyd będzie przed kolegami niemały! Na pewno strzelałem do odyńca. Świadczą o tym dwie puste łuski, a teraz to już nieważne czy z kuli, czy też z kamery! Niecierpliwiłem się bardzo!

Naraz wielka radość! Zdjęcia są ostre! Widać na nich resztki zalegającej mgły pod kraterem, a na ich tle biegnącego diabelskiego i krnąbrnego odyńca, który się kulom nie kłaniał. Jednak oszukać kamery nie umiał!

Myśl o spudłowaniu dzika prześladowuje mnie do dzisiaj. Coś z tego magnetycznego meteorytu musiało tu być naprawdę, bo gdyby nie to jego medalowy oręż wisiałby u mnie na pewno na ścianie!



Po nocnej śnieżycy, zagubiony warchlak szuka swojej watahy przy skałce zwanej Dziobem przy Czeskich Kamieniach.



Z wysokiego drzewa myszołów bacznie wypatruje swej zdobyczy.



CORRIDA NA RŻYSKU

25 września 1984 roku był dniem słonecznym, ale i zimnym. Rano temperatura na Śnieżce spadła do jednego stopnia poniżej zera. A więc może wreszcie byki zaczną ryczeć?

W obwodzie pięćdziesiątym były dwa byki do odstrzału. Zadzwoniłem do łowczego. Obiecał, że odstrzał podrzuci do sklepu „Jedności Łowieckiej”, gdzie będzie można go odebrać.

Wojciech był bardzo obowiązkowy. Odebrałem jakże miły każdemu myśliwemu kawałek papieru, który jest jakby biletem wstępu do łowiska i zarazem wielką niewiadomą, co też bór tym razem darzy. Mam zezwolenie na odstrzał indywidualny byka selekcyjnego, sarnę – kozłaka i dzika, podpisane przez łowczego i prezesa. Starannie złożyłem je i schowałem razem z legitymacją łowiecką w kieszeni mej myśliwskiej bluzy.



Porwane białe chmurki zaczęły powoli znikać znad grzbietu góry wznoszącej się ponad 580 m n.p.m. obok wsi Lubiechowa w Górach Kaczawskich, zwanej „Leśną Amboną”.

Z Edkiem zatrzymaliśmy się przy pierwszej gospodarskiej stodole. Z prawa rozciągało się pokryte lasem świerkowym zbocze góry, a przed nim widniała mozaika barwnych pól, o tej porze roku pokrojona żółtymi ścierniskami i czarnymi orankami.

Głęboko pod samym lasem stał łąn mocno wyłożonej pszenicy. Na polach pracowały traktory, zbierano słomę, dojono krowy, panował gziełk i hałas.

Wybraliśmy drogę u stóp góry, po jej warstwiczy, kamienną, wyboistą, z głębokimi koleinami napełnionymi wodą. Mój towarzysz szedł pierwszy wyposażony w manlichera 7-milime-

trowego z nocną optyką, lornetką i krzeselkiem. Zimą kamerą i sztućcerem kalibru 30-06 z trudem starałem się dotrzymać mu kroku.

Droga stawała się coraz trudniejsza. W dodatku jak na złość rozszczał się uwiązany w polu pies. Wszystko to nie wróżyło dobrych wyników. A przecież ze skał schodziła tu zwierzyna na pobliskie ścierniska, było dużo tropów jelenich i dziczych.

Miejscowy leśniczy Bielakiewicz opowiadał mi, że tuż za granicą obwodu spotkał chmarę jeleni, a część z nich często widuje na tych skałach.

Usiadłem na niewysokiej ambonie, zawieszanej wśród czterech olch rosnących na skarpie, dzielących dwa pola – jedno z rżyskiem po pszenicy, drugie mocno porośnięte trawą owsi-sko. Widok z ambony zasłonięty był gałęziami i gęstym listowiem. Usunąłem je możliwie jak najciszej. Nikt tu chyba w tym roku nie siedział, pomyślałem.

Jeszcze gdzieś w oddali brzęczały wiaderka, które gospodarz ładował na wóz, a już uwagę moją zwrócił pies uwiązany do długiego drutu przy prowizorycznym szałasie, który wyrывał się w stronę lasu, podskakiwał i szczekał. Napięty jak struna drut wydawał świszczące dźwięki, kiedy piesek przesunął po nim łańcuch.

Potem nastąpiła chwila spokoju i znów świst struny i szczekanie odbijało się echem o skały za moimi plecami. Może rzeczywiście zamiast jeleni spotkam tu dziki? Pod wieczór pola opustoszały, nastąpiła cisza.

Pomimo, że było jeszcze zupełnie widno, wielki, różowy balon księżycy majestatycznie szybował nad lasem, coraz wyżej i wyżej, w stronę gwiazd. Teraz na wieczorny spacer wyszły muflony. Rozpoznałem trzy owce i dość ładnego tryka z mocno podwiniętymi ślimami. Żerowały pod okapami liściastych gałęzi, a zdradzały je białe siodełka na ciemnych sukniach. Chyba to był powód nerwowego zachowania się pieska. A więc nie dziki, nie jelenie, a muflony!

Jak gdyby na przekór moim myślom z głębi lasu zaczęły nadchodzić głucho porykiwania. Powtórzyły się kilkakrotnie, jednak coraz dalej i dalej. Nie wróżyło to niczego dobrego – jelenie się stąd wynosiły.

Zrobiło się jakoś zimniej i pociemniało. Miałem już schodzić, kiedy w olchach coś trzasnęło i znów nastąpiła cisza. Teraz wyraźnie usłyszałem mlaskanie żerującego dzika. Było tak bliskie, tak nagłe, że zaskoczyło mnie zupełnie – zrobiło mi się gorąco!



Coś bardzo dużego przeciskało się przez olchy w stronę łowiska. Jeszcze nic nie widziałem, tylko słyszałem ciężki oddech idącego dzika. Odległość niewielka, może dwadzieścia metrów, wreszcie jest! Widzę w lornetce niewyraźny, czarny kształt powoli sunący w trawach.

Podnoszę sztucer. W lunecie szukam komory dzika. Pozycję mam niewygodną, muszę się lekko podnieść. Wreszcie czarny

krzyż przesuwa się na dziku, huk gwałtownie targa powietrzem, błysk oślepia mnie zupełnie.

Początkowy szum traw zamienia się w ciszę i tylko miarowy turkot traktora dolatuje do moich uszu. Zza lasu ukazują się dwa światła reflektorów. W lornetce widać traktor ciągnący przyczepę, a do niej uwiązaną krowę. Rżysko przecinają smugi jasnych światła, które skaczą wraz z wyboistą drogą pokonywaną przez maszynę.

Szybko schodzę z ambony. Gdyby przypadkiem dzik leżał, nadarzyłaby się nie lada okazja do jego zabrania i podwiezienia do drogi. Pod lasem błysnęły światła latarki. To idzie mój towarzysz. Wychodzę mu naprzeciw. Razem analizujemy sytuację. Zdejmuję lunetę ze sztucera i podchodzę powoli do miejsca, gdzie był dzik.

Przeszedłem jeszcze parę kroków i nagle szum. To gwałtowna ucieczka ciężko rannego odyńca! Z całą furią wpada na przyczepę spanikowanego traktorzysty. Straszny hałas, brzęk wiader, łańcuchów, krzyk stojącego z widłami na traktorze gospodarza!

Dobiegliśmy do nieszczęśnika. Obraz w tej szarówce nie był ciekawy: wywrócona przyczepa, która spadła ze skarpy, omal nie pociągając za sobą traktora, wylane mleko, porozwalane wiadra i złorzeczący nas traktorzysta wymachujący widłami. A urwana z uwięzi krowa, skacząc szykowała się do zadania leżącemu obok i chrypiącemu odyńcowi śmiertelnego ciosu. Istna corrida!

O dostrzeleniu dzika nie mogło być mowy. Trudno było do niego dojść, bo nie wiadomo od kogo można było oberwać: rozjuszonego odyńca, skaczącej krowy czy wideł traktorzysty. Zatem w poświęceniu księżycy mogliśmy tylko oglądać to zdarzenie, pilnując jedynie, aby dzik nie wrócił do lasu.

Nie wiem czy rozwścieczona krowa zrogowała dzika, czy też nie, ale stali naprzeciw siebie próbując szarży. Kiedy nagle

zastygli w bezruchu, dzik ukląkł przed nią i się wywrócił. To był jego koniec! Krasula z niedowierzaniem wierzgała nogami, kiedy jednak odyniec nie dał się sprowokować uznała, że go pokonała i dumnie podniosła czarny, kudłaty łeb.

Podeszliśmy bliżej. Przybiegł też traktorzysta obsypując nas gradem bluźnierstw i zaraz oświadczył, że dzik jest jego. Kiedy jednak w świetle latarki zobaczył farbę, zamilkł.

O ciągnięciu dzika do drogi nie było mowy. Był to duży odyniec, powyżej stu kilogramów wagi, o krótkiej, krępej budowie, z obłamaną jedną szablą. Szybko pomogliśmy gospodarzowi postawić przyczepę, pozbierać porozrzucane przedmioty. Jednocześnie musieliśmy wysłuchać całej litanii o kosztach, jakie on ponosi, o stratach, nieprzespanych nocach i dzikach, które się pasą wśród jego krów, a one z tego powodu mniej mleka dają.

W pewnym momencie poprosiłem gadatliwego gospodarza o pomoc w transporcie dzika. Nie odpowiedział ani słowem. Dopiero pięćset złotych zachęciło go do pomocy, najpierw przy patroszeniu, a później transporcie.

Wracaliśmy brudni, zmęczeni, kiedy czerwony świt wstawał już nad „Leśną Amboną”. Myślę, że tej nocy tylko zadowolona maszerowała Krasula, która pokonała chyba po raz pierwszy czarną, leśną bestię.



AMBITNY BŁOCIARZ

Za swą przyjaźń z ludźmi był sownie nagradzany cukierkami, ciastkami, karmiony kukurydzą przez leśniczego. Smakołyki te roznosił po podwórku, a nadmiar ukrywał, zakopując w ziemi. Z czasem podwórko i łąka wokół leśniczówki przypominały zaorane pole.

Ważył ze czterdzieści kilogramów, był dobrze zapowiadającym się pojedynkiem, gamratem nazywanym też często, ze względu na upodobania, błociarzem. Dzik nazwany Aleksy tej jesieni miał długie, czarne wełniste pióra. Podenerwowany podnosił je do góry. Wówczas stawał się o wiele większy niż w rzeczywistości. Jego białe, trójgraniaste szable były wyjątkowo duże, choć częściowo spiłowane ciągłym kłapaniem przy złym humorze.

– Nie wiem czy uda ci się go sfotografować, bo to już wielu próbowało i bez powodzenia – powiedział leśniczy Mietek.



Tak było i teraz. Kiedy dzik przebiegał drogę, szybko podniosłem aparat fotograficzny. Wpadł z furią do młodnika. Pobiegłem za nim, zaszył się w gąszczu i pokwikiwał. Przywołany przez leśniczego przybiegł, ale ciągle mnie obserwował. Kiedy tylko skierowałem obiektyw w jego stronę wpadał we wściekłość, a raz nawet mnie dobrze przestraszył. Kiedy ujrzałem go w wizjerze aparatu, całą siłą swych mięśni pędził na mnie. Szarżując uderzył w moje nogi. Omal się nie wywróciłem i gdyby nie jamnik leśniczego, który wskoczył na niego z tyłu, jego gwizd sięgnąłby obiektywu. Leśniczy szybko zorientował się w jego wrogich zamiarach wobec mnie i poprosił o schowanie kamery, obiecując, że zdjęcia zrobimy później.

Aleksy uspokoił się teraz zupełnie. Nawet pozwalał się podrapać za uchem. Nie zrobiłem żadnego zdjęcia, ale liczyłem na następne wyjście z dzikiem do lasu.

Siedzieliśmy na ganku leśniczówki przy kawie. Tutaj dowiedziałem się, że właściwie to Aleksy nie ma zdjęć, nie licząc tych, kiedy był warchlaczkim. Leśniczy mówił, że nie znosi lornetek, kamer i lunet i to dzięki myśliwym. Słuchałem tych opowieści o Aleksym z niedowierzaniem.

– Otóż – opowiadał leśniczy – zimą przyjeżdżali myśliwi na polowania zbiorowe. Przywozili ze sobą całą sforę foksterierów. Szczuli nimi dzika, celując przy sposobności w niego sztucerami, a może i robili zdjęcia, udając sceny z polowania w lesie.

Pogryziony Aleksy te spotkania dobrze sobie zapamiętał. Wiedział, że kiedy skierowany zostanie w jego stronę błyszczący obiektyw, nieważne czy kamery, czy lunety na broni, on zostanie pogryziony przez psy. A to wiązało się z bólem. Był ambitny, nikomu nie pozwolił się do siebie z tymi przyrządami zbliżać.

Zrezygnowałem i ja patrząc na czarne ślepia dzika.

DZIADEK STAŁ SIĘ MÓJ?

Znaliśmy go wszyscy. Nie było myśliwego, który by polując częściej w tym nadleśnictwie nie spotkał go przynajmniej parokrotnie. Kiedyś przed trzema czy czterema laty Władek nazwał go „Dziadkiem” i tak już pozostało.



Odyniec to był wspaniały, groźny, imponujący. Potężne jego cielsko, o przesadnie rozrośniętym pasie barkowym, tworzyło sylwetkę bardziej do żubra, aniżeli do dzika podobną. Gwizd niezbyt długi, sierpami wielki, w szable strojny, grube kosmate biegi i nisko sterczący łeb, sprawiały wrażenie nieprzeciętnej siły i musiały budzić respekt.

Było w nim coś strasznego i majestatycznego zarazem. Pozornie oziębiały, potrafił w chwili niebezpieczeństwa zadziwić fenomenalnym refleksem, niespodziewaną zręcznością i lekkością ruchów. Kiedy spłoszony na żerowisku przez podchodzącego go myśliwego gnał ku zbawczej, leśnej gęstwinie, zdawał się fru-

wać w powietrzu i gdyby nie świeży trop pozostawiony na rozmięklej ziemi czy śniegu, niejeden gotów był przysiąc, że miał do czynienia ze zjawą.

„Dziadek” odznaczał się wprost nadzwyczajnym słuchem i niebywale wysublimowanym organem powonienia, co przy wyjątkowej ostrożności i przebiegłości dawało mu rękojmię bezpieczeństwa i bezkarnego rozkoszowania się smakiem chłopskich ziemniaków, spółdzielczego owsa czy pegeerowskiej pszenicy. Dzik ten obdarzony był ponadto jakimś fantastycznym instynktem, jakimś szóstym zmysłem, pozwalającym na nieomyślne odróżnienie prawdziwego niebezpieczeństwa od pozornego. Zawsze w porę potrafił wyczuć obecność człowieka uzbrojonego, zaś stróżujących na polach rolników czy sforę wiejskich kundli traktował wprost prowokacyjnie, z wyraźnym lekceważeniem.

Niejeden Burek pozostał na placu z rozprutym brzuchem, niejeden chłop solidnie najadł się strachu i porzuciwszy swój drąg, siekierę czy widły pośpiesznie lądował na drzewie.

Jeżeli „Dziadek” bał się kogokolwiek, jeżeli kogokolwiek unikał, to jedynie człowieka z kijem miotającym pioruny.

Ileż to zasadzek organizowali na niego miejscowi leśnicy, ileż to godzin niejeden nemrod spędził na przesmyku czy ambonie, w skrytości ducha marząc o spotkaniu z nim. Ale właśnie tego wieczoru chytry gamrat albo przemknął inną drogą albo podszedł do myśliwego cicho i podstępnie, akurat w takim momencie, kiedy biedaczysko musiał się poruszyć dla wyprostowania zdrętwiałej nogi. Innym znów razem wiatr niecnota zmienił nagle kierunek, że aż zakręciło w dziczym nosie wstrętnym, ludzkim odorem. I znów tylko pozostał świeży trop ogromnymi rapciami wyciśnięty.

Zdarzały się wprawdzie wypadki, że ten i ów natknął się wreszcie na dzika. Były to jednak spotkania ze wszech miar przypadkowe, niespodziewane, zaskakujące, w których refleks

zwierzęcia był zawsze szybszy od ludzkiego. Nim biedny nemirod rozgorączkowanymi dłońmi chwycił styl strzelby, oddalający się trzask łamanych gałęzi jak drwina, jak szatański chichot drażnił już nieznośnie myśliwskie ucho. Gęstwiny leśne potrafią szybko ukryć swych mieszkańców przed ludzkim, nie zawsze bezpiecznym wzrokiem.

Wprawdzie był ktoś, kto zdążył w porę unieść broń do oka, lecz miał pecha! Strzelba po prostu nie wypaliła! Okazało się bowiem, iż spośród kilkudziesięciu ładunków kulowych właśnie ten jeden jedyny posiadał zwilgotniały proch.

Był również i taki co strzelał do dzika, ba, na 60 kroków strzelał... Wyniku tego strzelania próżno jednak szukać na chlubnych kartach polskiego łowiectwa.

Krótko mówiąc „Dziadek”, oprócz całej swej chytrości i wyostrzonych zmysłów, oprócz przebogatego doświadczenia i nieomyślności instynktu samozachowawczego, miał ponadto ogromne szczęście.

Pierwsze z nim moje spotkanie nastąpiło przed kilkoma laty. Właśnie omawiałem z Jurkiem i Władkiem plan polowania, gdy naraz z dużego ładu owsa dobiegło nas charakterystyczne chrupanie i mlaskanie. Dziki! Decydujemy się błyskawicznie. Jurek obstawił jeden przesmyk, ja drugi. Władek nagania. Smakowite mlaskanie w owsie raptownie umilkło. Cisza aż w uszach dzwoni. Nagle słycać krzyk Władka:

– Uwaga! „Dziadek”!

Tętno gwałtownie skacze, chyba na 150. Ręce zaczynają drżeć. Całym wysiłkiem woli staram się opanować. Zdaję sobie dokładnie sprawę z tego, że jeśli odyniec wyskoczy na mnie, to przy takim podnieceniu spudłuję niechybnie. Zaczynam sobie wmawiać, że absolutnie nie zależy mi na tym czy trafię dzika czy nie. Staram się ocenić sytuację. Pomiedzy skrajem owsa, a lasem 50 metrów łąki. Piękne pole do strzału! Nagle jakies

poruszenie w owsie. Nie widzę nic, gdyż stoję w zagłębieniu terenu. Co się tam dzieje, u licha?

Serce znów wali coraz mocniej. Nie słyszę nic, tylko łomot serca. Wydaje mi się, że siedzę pod mostem, po którym przejeżdża pociąg pośpieszny. Ten ogłuszający huk, ten łoskot kół o złącza szyn, to odgłos anormalny pracy mego serca. „Dziadek” jak błyskawica wpadł na przesmyk Jurka. Odległość może 40, może 50 metrów...

Dzik już w lesie, farby ani kropli! Poszedł w susach zdrów i cały. Pudło!

Moje drugie spotkanie z „Dziadkiem” miało miejsce następnego lata. Siedziałem na zasiadce przy ziemniakach pod lasem. Przed sobą miałem stok wzgórza z łańcem zieleniejących redlin, z tyłu, tuż za plecami, gęsty świerkowy młodnik, po prawej jeden przesmyk, po lewej drugi. Wiatr dobry. Zapada zmierzch, cisza. W dali słychać chrapanie ciągnącej słonki.

Robi się coraz ciemniej. Zaczynają ciąć komary. Zza ściany lasu wynurza się zwolna miedziana tarcza księżycy. Jeszcze kilka minut, a ściągnę Władka, który drętwieje na ambonie przy grochowisku. Ale te komary tną... Och, jak bardzo chce się zapalić papierosa! Żona Władka pewnie czeka z kolacją? Jak zwykle ziemniaki, dużo skwarek, koper? Do tego pyszne zsiadłe mleczko, z imponującym kozuchem śmietany... Delicje...

Ale co to? Jakby trzask złamanej gałązki... Czyżby jednak?... Teraz już wyraźnie słyszę powolne, ostrożne kroki na chrupiącym suszu. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że to dzik, pojedynek. Jakaś bestia, chyba ostrożna, chytra sztuka. O, właśnie przystanął... Słucha... Znów stąpnie i znów słucha, wietrzy... Widać to stary, doświadczony gracz. A może to „Dziadek”? Wstrzymuję oddech i cały zamieniam się w słuch. Powoli ujmuję sztucer, szykuję się do strzału. Znów cisza. Tylko ten nieznośny łomot serca... Czy wyjdzie z prawej czy z lewej strony? W lewo strzał

wygodniejszy. Znów kroki. Ale co to? Dzik wali przez młodnik prosto na moje stanowisko! Podchodzi tak blisko, że niemal czuję jego oddech na karku. Jest tuż, tuż..., może pięć, może sześć kroków za moimi plecami.

Psiakrew! Co za fatalna sytuacja! Przecież do tyłu nie będę strzelał, a odwrócić się niepodobna. Najmniejszy ruch niechybnie go spłoszy. Zresztą i tak nic nie dojrzę. Gęsta ściana młodnika zazdrośnie kryje swoje wnętrza przed wzrokiem intruza. Dzik stoi i słucha. Ja siedzę i kamienieję w napięciu. Jakże straszliwie wolno wlecze się ten czas. Wilgotna tabakiera ze świstem wciąga powietrze. Raptem ostre, krótkie fuknięcie i szybko oddalający się tętent... Ocieram spocone czoło i zabezpieczam sztucer. Kiedy po chwili oglądam z Władkiem trop wielki jak dłoń, wiem wszystko. „Dziadkowi” sprzyja szczęście, a mnie?

Przysłowie mówi, że do trzech razy sztuka, ja zaś mówię, że w ogóle jest sztuką dostać „Dziadka” na strzał.

W połowie lat sześćdziesiątych, trzeciego roku mojej znajomości z „Dziadkiem”, poluję często i często spotykam dziki: to lochy z gromadą pasiastych warchlaków, to jakiś wycinek, to znów watahę jednorocznych przelatków. „Dziadka” jak nie ma, tak nie ma. Co prawda ktoś podobno widział go, ktoś inny stwierdził jego tropy, jakiemuś gospodarzowi ogromny odyniec rozpruł psa przy kartoflach, ale ani Władek, ani ja nie mamy do niego szczęścia. Na nic nasze chytre zasadzki, wytrwałe tropienie, podchody, na nic prośby i groźby pod adresem patrona św. Huberta kierowane. Na nic precyzyjne ostrzelanie lunety, na nic ekspansywna amunicja, specjalnie z Wrocławia sprowadzona. Nie pomagają tu ani zgrabne kolanka nadobnych pań przed każdym polowaniem z niemalą satysfakcją oglądane, ani szczere życzenia kolegów w rodzaju: „Skręć kark!” lub „Połam strzelbę!”, ani wreszcie różne gusła, zabobony i wszelkie obrzędy.

W końcu ten przebogaty arsenał, zarówno łowieckich jak i kuglarskich środków, został wyczerpany doszczętnie i tylko ponure zwątpienie i czarny pesymizm ogarnęły nasze umysły i serca. I tkwilibyśmy nie wiedzieć jak długo w owym zgubnym, bezpłodnym marazmie, gdyby nie nowy incydent, który nas ponownie zelektryzował i wyrwał z odrętwienia.

Ranek wstał cichy, pogodny, bezwietrzny. Na wschodzie budzący się dzień różowił pierzaste strzępy cyrusów, sinofioletowy blask pokrył wzgórze i lasy, szeroki pas łąk wynurzał się z mlecznej, mglistej topieli.

Ujrzałem go przez mgnienie oka, przebiegającego drobnym truchtem pomiędzy kępami dębiny. Zniknął mi na moment w świerkowej enklawie, lecz gdy wpadł na łąkę, sztucer miałem przy oku. Odległość śmiesznie mała, około 70 metrów. Jego potężna sylwetka niemal całkowicie wypełniła moją ośmiokrotną lunetę. Ułamek sekundy i krzyż celowniczy pokrył komorę. Wolno ściągam spust... Po strzale wyprysnął jak z katapulty! W kilku skokach dopadł zbawczego lasu i zniknął. Jestem pewien strzału i spokojnie zapalam papierosa. Wolno wchodzę na trop, ale farby brak. Idę tak 200, 300, 400 metrów i wprost nie mogę uwierzyć. Odyniec, najzdrowszy pod słońcem, pomaszrował do swojej ostoi. Znów klasyczne pudło!

Jestem wściekły. Palę jednego papierosa po drugim. Wracam na trop i w odległości kilku dobrych metrów od miejsca, gdzie dzik był strzelany znajduję bruzdę wrytą przez kulę. To przechodzi, wszelkie ludzkie pojęcie! Toż to kamieniem można było go trafić! Jakiś zaczarowany ten odyniec? Kule się go nie imają? Z ciężkim sercem, w najbardziej ponurym nastroju wracam do domu.

Kiedy nazajutrz sprawdzam broń na strzelnicy wyszło na jaw, że luneta przesunięta jest pod kątem w stosunku do osi lufy o półtora do dwóch milimetrów. Jak to się stało, nie wiem do

dziś. Fakt, że kule padały w odległości dwóch metrów od punktu celowania.

No i co, nie mówiłem, że „Dziadek” ma szczęście?

Grudzień. Władek strzela do dzika, który teraz w okresie huczki prowadzi okazały haremik loszek. Jest farba w wilgotnym śniegu, obok potężnego tropu maleńkie rubinowe plamki. Idziemy wolno, schyleni nad sznurem odcisków dziczych rapci, jedynie po to, aby stwierdzić, że postrzał jest śmiesznie lekki, powierzchowny, zupełnie dla dzika niegroźny.

Kończy się łowiecki sezon. Jeszcze kilka ostatnich dni, jedno czy dwa polowania i strzelba powędruje na ścianę. Szybkimi krokami zbliża się wiosna, okres ochronny całej niemal zwierzyny. Czas podsumować wyniki. Mam fotografie saren, jeleni, lisów i borsuka, ale dzików brak – niezły rezultat ostatnich miesięcy. Wśród trofeów oglądam szable, lecz do pełnego kompletu mych zbiorów brak jednak tamtych.

Ciekawe kto je zdobędzie? Wiem, że „Dziadek” nie odda ich tak łatwo, o nie...

Dzwoni Władek:

– Co, czy pojedę? Oczywiście! Otopiona wataha dzików? Świetnie! Przyjedź o szesnastej!

Jedziemy. Pogoda fatalna. Odwilż, resztki śniegu, trochę błota. Od zachodu inwazja ciężkich, ołowianych chmur. Zimno, wilgotno i wstrętnie. Wszystkiemu ponoć winien wyż, który gdzieś tam rozbudowuje się nad Atlantykiem pomiędzy Irlandią i Skandynawią. Niech to wszyscy diabli! Zaczynam żałować, że dałem się namówić na polowanie. Może i dobrze, że się już kończy sezon. Przynajmniej człowiek należycie wypocznie, pogra w brydża, obejrzy jakiś ciekawy film w telewizji.

Są tropy. Spora wataha dzików zbuchtowała kawał dębowego lasu, lecz jeszcze wczoraj wyniosła się w jakieś bardziej odległe strony. Idziemy na przełaj polem. Mokra ziemia oblepia

buty, że trudno wprost nogi podnosić. No, nareszcie jest droga! Za lasem łąka, znów rola i znów droga.

Dzień się ma ku schyłkowi, zbliża się wieczór, ciemnieje. Jeszcze tylko dojdziemy do stawów i można wracać do domu. Umawiam się z Władkiem, że obejdziemy stawy z dwóch stron jednocześnie. Rozstajemy się przy wysokopiennej drągowinie. Władek znika za wzgórzem porośłym gęstym maliniakiem, ja posuwam się zwolna drogą, wzdłuż ściany lasu.

Tuż za pierwszym zakrętem staję jak wryty. W odległości około dwustu metrów, na zieleńiącej spomiędzy roztającego śniegu oziminy, żeruje ogromne dziczysko i wolno, krok za krokiem zbliża się do mnie. Staję jak skamieniały i oczom nie wierzę. Przecież to „Dziadek”!

Całym wysiłkiem woli staram się opanować i uspokoić roztrzęsione nerwy. Dziwnie szybko mi się to udaje. Coraz spokojniej śledzę ruchy odyńca i trzeźwo oceniam sytuację. Z rzadka tylko przerywa żerowanie, chwilę nasłuchuje i znów zapuszcza swój uzbrojony gwizd w pulchne ciasto rozmięklej gleby. Widocznie poszukuje zeszłorocznych ziemniaków gdzieniegdzie pozostałych po wykopkach. Wolno, ale konsekwentnie dąży w obranym kierunku. Odległość między nami zmniejszała się nieustannie: 180, 150, 120, 100 metrów. Wiatr mam dobry z pola.

Przykucnąłem pod krzakiem tarniny i wolno unoszę kamerę do oka. W wizjerze dzik jest potwornie wielki. Stoi na sztych. Czekam. Jestem zupełnie spokojny, aż sam się dziwię. Najmniejszego drżenia rąk. Wiem, że ten dzik jest mój, że już mi nie ujdzie, że będzie mój pierwszy z Pogórza Karkonoszy.

Kiedy widzę, że obiekt jest dobrze wycelowany, stopniowo wzmagam nacisk palca na spust migawki, zupełnie jak na zawodach przy strzelaniu do tarczy. Równocześnie podrywam głowę znad aparatu do góry i widzę, że mój gamrat skacze do tyłu. Gwałtowny wyrzut tylnymi nogami, dzik uchodzi w galopie!

Strzelam nikonem z przerzutu jeszcze raz i młociarz ginie w lesie. Teraz trzymane na wodzy nerwy zaczynają dawać się we znaki. Czuję, że nie jestem w stanie uczynić ani jednego kroku. Nogi z waty, a na całym ciele drzę jak osika. Zęby szcękają jak w febrze. Ogarnia mnie dławiąca fala radości! Chce mi się tańczyć, śpiewać, krzyczeć, że nareszcie, po tylu trudach i niepowodzeniach, po tylu zasadzkach i podchodach, po tylu pudłach i drwinach ze strony kolegów, „Dziadek” nareszcie stał się mój!

Z jakąż rozkoszą i dumą zawieszę na ścianie jego wielką fotografię, dawniej obiekt marzeń, dziś zazdrości wszystkich tutejszych nemrodów. Jak długo tak stałem pogrążony w głębokim zamyśleniu, nie wiem. Jak we śnie przyjąłem gratulacje Władka. Dopiero dalsze jego słowa podziały na mnie jak przyszłowiowe wiadro zimnej wody.

– Ładna sztuka, solidny błociarz – powiedział – Gdybyś go spotkał może za dwa lata, no może za trzy, dorównałby tuszą „Dziadkowi”, ale ten szabelki miał mizerne, mizerne. Gdzież im tam do „Dziadkowego” oręża...

Machinalnie machnąłem rękami i cieszyłem się w duszy.

Po kilku dniach spotkałem Władka. Był w dobrym humorze, śmiał się i dowcipkował. Przy pożegnaniu zrobił wielce tajemniczą minę i powiedział:

– Wiesz kto mi wczorajszej nocy złożył wizytę? „Dziadek”. Dobierał się do kopca z ziemniakami. Psy go spłoszyły. Jeśli nie wierzysz, przyjdź. Obejrzyś sobie tropy – zakończył z nutką ironii w głosie.

Nie pojechałem. Uwierzyłem, bo on na mnie jeszcze poczeka!

Opowiadanie napisane wspólnie z myśliwym Andrzejem Kułakowskim, członkiem KŁ „Darz Bór” w Jeleniej Górze.





Mały słownik języka łowieckiego

- ALBINOS** – zwierzę dotknięte bielactwem
AMBONA – stanowisko myśliwskie zbudowane na palach lub na drzewie dla obserwacji i polowania
BADYLE – nogi daniela, jelenia i łosia
BARŁÓG – legowisko dzika w czasie spoczynku w ciągu dnia
BAŻANT – ptak łowny z rodziny kurowatych
BELKOT – głos koguta cietrzewia w czasie tokowania
BIEGI – nazwa nóg łosia, jelenia, daniela, dzika, muflona i kozicy
BORSUK – JAŻWIEC – ssak z rodziny łasicowatych, mieszka w norach, zimę spędza w półśnie
BÓR – typ lasu iglastego
BRENEKA – kula używana do broni śrutowej
BUCHTOWISKO – ziemia porożona przez dziki poszukujące żeru
BYK – samiec: jelenia, żubra, daniela i łosia
CEWKA – noga sarny
CHŁYST – młody jelen, byk asystujący bykowi stadnemu, kibic, towarzysz przy chmarze w okresie rykowiska
CHMARA – stado jeleni
CHYB – gęsta sztywna szczecina, na karku dzika
CIĄGI – przeloty dzikich gęsi lub kaczek na żerowiska
CIECIORKA – kura cietrzewia
CIETRZEW – ptak wielkości kury z rodziny gęszcowatych, zamieszkuje wrzosowiska i torfowiska
CYRANKA – dzika kaczka, pod ochroną od 1995 r.
CZAPLA SIWA – łowny ptak, rybożerny

CZATY – myśliwy czatuje na zwierzynę (zwyżka, ambona itp.)
CZOK – zwężenie lufy w broni śrutowej
CZUSZYKANIE – głos wydawany przez koguta cietrzewia
w czasie tokowania
DARZ BÓR – myśliwskie pozdrowienie
DĄBROWA – drzewostan dębowy odwiedzany przez dziki
DIANA – rzymska bogini łowów
DRAPIEŹNIK – zwierzę żywiące się innymi gatunkami
zabijanymi przez siebie
DROZDY – ptaki z rzędu wróblowatych - paszkoty i kwiczoły.
DRYLING – myśliwska broń łamana o dwóch lufach gładkich
i jednej gwintowanej
DUBLET – dwa oddane celne strzały jeden po drugim
do dwóch sztuk zwierzyny
DWUNASTAK – jelenń noszący na głowie rogi o sześciu
odnogach każdy
DWUNASTKA – broń myśliwska – śrutowa
DZIK – łowny krewniak świni domowej, żyjący w lasach
EUSTACHY św. - dawny patron myśliwych
FAJKI – kły dzika w górnej szczęce, dolne nazywa się szablami
FARBA – krew dziko żyjących zwierząt
FOKSTERIER – rasa psów używanych do polowania na dziki
GACH – samiec zająca
GAMRAT – odyniec w okresie huczki
GEBA – pysk zwierzyny płowej, kozicy, muflona oraz zubra
GEĞAWA – największa z europejskich dzikich gęsi
GLUSZEC – największy z europejskich kuraków leśnych,
skrycie tokuje w Karkonoszach
GON – ściganie zwierzyny przez psy gończe w czasie łowów
GRANDLE – szczątkowe kły ze szczęk jeleniowatych
GRZĘDA – stanowisko myśliwego na konarze drzewa
GRZYWACZ – największy z polskich dzikich gołębi

GWIZD – ryj dzika lub głos słonki i jarzątka
HUCZKA – okres godowy dzików
JENOT – ssak z rodziny psów, bliski krewniak lisa
KAPITAŁNY – rogacz lub jeleni o pięknych rogach
KIERDEL – stado muflonów lub kozic
KNIAZIANIE – głos trwogi wydawany przez zającą
KNIEJÓWKA – broń myśliwska o jednej lufie kulowej
i jednej śrutowej lub trąbka myśliwska
KOMORA – część ciała grubego zwierza, gdzie znajdują się
płuca i serce
KOPYRA – zając w mowie myśliwskiej i gwarowej
KOT – ryś, żbik, zając
KWIAT – ogon borsuka i zwierzyny płowej
LICÓWKA – łania prowadząca stado jeleni lub danieli
LOCHA – samica dzika, samura, maciora
LUSTERKO – kolorowa plama na skrzydłach kaczek
MIOT – powierzchnia lasu, po której naganka pędzi zwierzynę
MOZDŻENIE – wyrostki kostne na czole samców zwierzyny
płowej, na nich osadzone jest urożenie
MUFLON – dziko żyjący w Sudetach gatunek owcy
MYKITA – lis
MYŁKUS – zwierzyna płowa ze zniekształconym porożem
NEMROD – zapalony myśliwy (nazwa żartobliwa)
ODYNIEC – samiec dzika powyżej 3 lat, żyjący samotnie
OREŻ – szable i fajki dzika, wieniec jelenia
OSTATNI KĘS – kawałek iglastej gałązki włożony do pyska
grubego zwierza
PAROSTKI – poroże sarny kozła
PERUKARZ – rogacz lub jeleni byk o porożu w kształcie
narośli pokrytym scypułem
PIELESZE – gniazda drapieżnego ptactwa
PONOWA – świeży śnieg, na którym zwierzyna odcisnęła

swe tropy

PRZESMYK – wydeptana ścieżka, którą przechodzi zwierzyna

RAKIETA – podskok zwierzyny płowej po strzale na komorę

RAPETY – nogi dzika

RYKOWISKO – ruja jeleni, okres godowy

SŁONKA – długodzioby ptak, podczas wiosennego lotu
godowego chrapie lub gwizdże

STAWKI – nogi lisa i borsuka

SUKNIA – skóra okrywająca ciało sarny, jelenia i dzika

SZABAS – przerwa w grze cietrzewi podczas toków
w momencie wschodu słońca

SZYDLARZ – kozioł lub jeleń byk z ostrymi zakończeniami
tyk, poroże bez odnóg

ŚLIMY – rogi muflona tryka

TABUNY – stada dzikich gęsi

TOKOWISKO – miejsce, gdzie odbywają się toki głuszców,
cietrzewi i batalionów

TYKA – jeden róg rogacza, jelenia

WARCHLAK – dzik do jednego roku życia

WATAHA – duże stado dzików lub wilków

WIENIEC – poroże jelenia byka

WINCHESTER – amerykańska gwintowana broń myśliwska

WIETRZNIK – nozdrza u psa i zwierząt drapieżnych

WSTECZNIAK – stary rogacz, jeleń o starzejących się rogach

WYCINEK – dzik od dwóch do trzech lat, samiec

ZESTRZAŁ – ścinka sierści odcięta kulą w miejscu strzału

ZŁOM – najwyższe odznaczenie łowieckie: obłamana świerczyna,
wręczana myśliwemu po strzeleniu grubego zwierza

ZWIERZ KAPITAŁNY – odznaczający się kondycją i wagą ciała

ZWIERZYNA CZARNA – dziki

ZWIERZYNA PŁOWA – sarny, daniele, jelenie

ZWYŻKA – stanowisko myśliwego na stogu



Zbigniew Adamski

KSIAŹKI PRZYGODOWO – ŁOWIECKIE

Foto Kronika KŁ Darz Bór T I 1970-1973	wydanie autorskie Jelenia Góra
Foto Kronika KŁ Darz Bór T II 1974-1980	wydanie autorskie Jelenia Góra
Rospudą do Puszczy Augustowskiej	1980 Muzeum Karkonoskie
Moje spotkania z przyrodą	1984 Muzeum Karkonoskie
40 lat MZKS KARKONOSZE	1987 MZKS Karkonosze
Skarbiec św. Huberta w Karkonoszach i na Pogórzu	1997 SK Wrocław
Ze strzelbą i wędką	1998 Zarząd Okręgowy PZŁ w Jeleniej Górze
Ontaryjskie safari	2000 Spółka Komputerowa RKA w Inowrocławiu
Nad rzeką św. Wawrzyńca	2002 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
Lowy z kamerą	2003 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
W królestwie Diany	2004 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
Z wędrówek po puszczech	2004 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
Tęczowe lasy Kanady	2005 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
Skarbiec św. Huberta w Zach. Krainie Sudetów	2006 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
Na tropach książek (katalog)	2006 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
Stowarzyszenia myśliwskie w grodzie nad Bobrem	2007 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
Lowy z wędką	2008 ZO PZŁ w Jeleniej Górze
W ogrodzie Ducha Gór Rzepióra	2008 AD REM w Jeleniej Górze
Nad Bobrem, Odrą i Notecią	2009 TOTEM w Inowrocławiu
Skarbiec Puszczy Sudeckiej	2010 AD REM w Jeleniej Górze
Kolo Łowieckie „Darz Bór” w Jeleniej Górze	2010 TOTEM w Inowrocławiu
Kolo Łowieckie „Knieja” Jeleniej Górze	2010 TOTEM w Inowrocławiu
Dziennik „Foto-Klubu Celwiskoza”	2010 TOTEM w Inowrocławiu
Foto Kalendarz 2011	Muzeum Przyrodnicze w Jeleniej Górze
Grafiki z moich książek	2011 Wydanie elektroniczne
Kolo Łowieckie „Jarząbek” znad Zal. Mietkowskiego	2011 TOTEM w Inowrocławiu
Baśń Sudecka o grodzisku Strupicza	2012 KSIĄŻNICA KARKONOSKA



Książki o przyrodzie Pogórza Karkonoskiego wydane w latach 2008-2009.

SPIS TREŚCI

PRZEDMOWA.....	5
OD AUTORA.....	7
90-LECIE PZŁ (1923-2013).....	12
DUCH GÓR „RZEPIÓR”-KARKONOSZ.....	17
PUSZCZA PRZESIECKA.....	18
BOBRZANIE.....	19
POSZUKIWACZE ZŁOTA	24
KARCZMA MYŚLIWSKA NA ŚNIEŻCE	27
KAPLICA ŚW. ANNY W POGAŃSKIEJ DOLINIE	35
W GÓRACH OLBRZYMICH	38
ZAPRASZAM DO OGRODU RZEPIÓRA.....	40
„SUDECKA KRAINA ŁOWÓW”	43
BARAN SKALNY W SUDETACH	47
Z SUDETÓW NA POMORZE.....	50
W HERBIE SUDETÓW	51
ZATRZYMAŁ JE BŁYSK OBIEKTYWU.....	54
FATALNA POMYŁKA	56
MOKRADŁA TRZCIŃSKIE	61
DLA KOGO ON SIĘ TAK STROI ?	65
CHRAPANIE SŁONKI	68
WIEDZIAŁEM JUŻ, ŻE TO TOKOWIK.....	70
CHCIAŁ SIĘ ZAPRZYJAŻNIĆ	73
ROZPOZNAŁEM TRUBADURA.....	75
USIADŁ CZARNY PTAK.....	77
UJĄŁ MNIE ZA SERCE.....	80
BYŁ PEŁEN WDZIĘKU	82

ŁOWY PANA HRABIEGO MYCIELSKIEGO	84
JAK LIS URATOWAŁ GĘŚ.....	87
RUDY PRZECHERA.....	94
TRWAŁA TAM WALKA.....	100
MYŁKUSY ŻYJĄ PARAMI	102
NIEBEZPIECZNA PRZYGODA NA AMBONIE	107
MIAŁ CHŁOP SZCZĘŚCIE	117
NA SCHAUBERGU WYBUCHŁ KAPUŚNIAK	121
ROGACZ ALBINOS.....	126
NERWOWY BYK.....	131
DO DIABŁA Z JAPOŃSKĄ TECHNIKĄ	133
ZA PÓŹNO NA KAMERĘ	135
ODDECH ZATYKAŁ MI GARDŁO	136
NIKON ROZGRZAŁ SIĘ	139
SZYDLARZ.....	141
RADOŚĆ BYŁA WIELKA.....	144
WIGILIJNY PREZENT.....	147
ODYNIEC ZE MNIE DRWIŁ	152
CORRIDA NA RŻYSKU.....	157
AMBITNY BŁOCIARZ.....	162
DZIADEK STAŁ SIĘ MÓJ?.....	164
MAŁY SŁOWNIK JEZYKA ŁOWIECKIEGO.....	173
WYKAZ KSIĄŻEK AUTORA.....	177